DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 14 (126) ROK IV Nowy Sącz 1 kwietnia 1983 r. Cena 10 zł

Zwycięstwo zdrowego rozsądku

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Od wielu lat na łamach prasy trwała batalia o wyeliminowanie motorówek z jeziora Rożnowskiego. Zwolennicy ciszy argumentowali, że konfiguracja terenu okalającego ten piękny akwen potęguje niemiłosiernie wszelkie efekty akustyczne. Wypoczynek przy akompaniamencie ryku silników — zwłaszcza w rejonie Gródka nad Dunajcem i Bartkowej — od dawna przestał być możliwy. Dniem i nocą szalały po jeziorze łodzie motorowe wzbudzając protest wędkarzy i wczasowiczów. Władze administracyjne próbowały ograniczyć hałaśliwych motorowodniaków wprowadzając strefę ciszy, milicja pobierała mandaty, ale w gruncie rzeczy hałasu nie ubywało. Kogo stać było na kosztowny silnik i coraz droższe paliwo, znajdował „dojście" do stosownego urzędnika, który wydawał zezwolenia na poruszanie się motorówkami.

Nie pomagały publikacje wskazujące przykłady przyznawania zezwoleń nawet osobnikom bez patentu sternika. Lekceważono pytania ludzi pracy dociekających, kogo stać na ten ekskluzywny sport. Mnożyła się natomiast gromada uprzywilejowanych sprawców hałasu. Właściciele prywatnych firm, waluciarze, niebieskie ptaki bez skrupułów umieszczali na swych łodziach proporczyki i napisy obwieszczające, że pływają w barwach Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, ORMO, LOK, klubów sportowych... I jakoś godzono się z tym procederem Prywata święciła tryumf nad interesem społecznym. Rzekomy ratownik i stróż porządku woził dziewczyny bezkarnie w pełni lipcowego i sierpniowego słońca. Nie brakowało zresztą „dobrych wujków" w oficjalnych miejscach; przymykali oni oczy na wodne bezprawie, które parokroć zakończyło się tragedią.

Tamę tej bezkarności kładzie ostatnia decyzja Wojewody Nowosądeckiego, który zakazał używania łodzi motorowych na całym obszarze jeziora Rożnowskiego od sezonu letniego 1983 poczynając. Zmotoryzowana będzie jedynie Milicja Obywatelska oraz współpracujące z nią patrole pływające WOPR i ORMO. Patrole te zobowiązano wszakże do dyskretniejszego, mniej hałaśliwego przemieszczania się. Tylko w razie spieszenia do wypadku uruchamiać one będą silniki na pełne obroty. Ostre kary posypią się na osobników nadużywających szyldu tych organizacji społecznych dla prywatnych przejażdżek. Wodny posterunek MO otrzymał wreszcie jasne i jednorazowe przepisy pozwalające na skuteczną walkę ze zmotoryzowanymi harcownikami. Jedynym wyjątkiem — i to tylko w roku 1983 — będą łodzie zaopatrzeniowe zakładowych ośrodków wypoczynku Kierownictwa tych ośrodków mogą ubiegać się o zezwolenie na dowóz żywności (w godzinach od 8 do 10 w dni robocze) w Wydziale Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki UW. Od przyszłego roku muszą jednak uruchomić transport zaopatrzenia drogą lądową. W ten sposób dokonało się zwycięstwo zdrowego rozsądku w akustycznej niecce akwenu, który służyć ma wakacyjnej regeneracji sił mieszkańców Nowego Sącza, Tarnowa i Krakowa.

Dwie pieczenie przy jednym ogniu

Na prawym brzegu Dunajca poniżej Nowego Sącza budowane są wały przeciwpowodziowe, biegnące aż do Kurowa. Dyrektor ZNTK, **Andrzej Gałęziowski**, postanowił spożytkować ten fakt dla zrealizowania śmiałego pomysłu łączącego kolejarską tradycję z troską o dzieci. Istota tego pomysłu jest następująca: na koronie wału położone zostaną szyny dla kolejki wąskotorowej łączącej Nowy Sącz z jeziorem Rożnowskim. W ten sposób w krajobrazie naddunajeckim pojawi się ciuchcia wożąca latem dzieci na wypoczynek. Przewiduje się kilka przystanków zlokalizowanych w Zabełczu, Wielopolu, Wielogłowach i Dąbrowie. Racjonalizatorzy z ZNTK wspólnie ze specjalistami Politechniki Krakowskiej opracowali wstępny projekt wzmocnienia wałów. Szyny przywiezione będą z Krakowa, gdzie przed laty zbudowano podobną kolejkę nad Wisłą. Obecnie nie funkcjonuje ona i władze dzielnicy Krowodrza wyraziły zgodę na demontaż torów. Z parowozem problemów nie będzie, gdyż jeden egzemplarz dla celów muzealnych zachowano w sądeckich warsztatach naprawczych. Jego stan techniczny jest doskonały. Pewien kłopot nastręcza zdobycie kilkunastu wagoników, ale Komitet Organizacyjny Budowy Wąskotorówki rozesłał już wici do sąsiednich dyrekcji PKP z prośbą o pomoc.

Nie zdecydowano jeszcze, gdzie mieścić się będzie stacja początkowa kolejki. Wiele wskazuje jednak na to, że trzeba ją będzie zlokalizować poniżej ujścia Kamienicy, aby uniknąć konieczności budowania mostu. Rozważa się również ewentualność powstania trasy dwuczęściowej, z przesiadką nad brzegiem Łubinki, gdzie następowałaby przeprawa w bród, bądź też przez małą kładkę.

Integralną częścią pomysłu jest powierzenie całej technicznej obsługi kolejki młodzieży z Technikum Kolejowego, która odbywałaby tutaj swe praktyki zawodowe, od konserwacji torów i napraw taboru poczynając aż po tworzenie rozkładu jazdy i obsługę pasażerów. Ta samorządna instytucja młodzieżowa funkcjonować będzie z uwzględnieniem zasad reformy gospodarczej. Przewiduje się, że już w pierwszym roku po rozruchu osiągnie ona finansową samowystarczalność. Rada Kolejki posiadać bowiem będzie prawo dostosowania cen biletów do wymogów rentowności.

Niezwykle interesujące są projekty wystroju architektonicznego poszczególnych stacji Będą one nawiązywać do kolejnych etapów rozwoju kolejnictwa. Jeden z przystanków przypominać będzie stację z Dzikiego Zachodu.

Komitet Organizacyjny zwraca się z apelem do dyrekcji szkół i zakładów pracy z gorącym apelem o objęcie patronatu nad budową poszczególnych odcinków i stacji kolejki. Szczegóły finansowe i techniczne należy uzgadniać z panią **Jolantą Stępniowską**, tel. 230-80, ZNTK, 33-300 Nowy Sącz, ul. Wyspiańskiego 3

Redakcja „Dunajca" objęła patronat propagandowy nad tym cennym przedsięwzięciem, które prezydent **Bolesław Basiński** włączył w program obchodów 700-lecia Nowego Sącza.

Ogłoszenia

● **Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne** uprzejmie zawiadamia, że wychodząc naprzeciw życzeniom P.T. klientów uruchomiło z dniem 31 marca 1983 stałe kursy własnych mikrobusów na trasie Zakopane — Kraków — Zakopane oraz Nowy Sącz — Kraków — Nowy Sącz.

Mikrobusy kursują jedynie w dni robocze (w pozostałe dni — na życzenie zorganizowanych grup 9-osobowych). Ceny przejazdu na obu trasach są jednakowe: 400 zł w jedną stronę i 700 zł w razie wykupienia biletu powrotnego. Zwracamy uwagę, że taksówkarze pobierają za przejazd do Krakowa ceny dwukrotnie wyższe.

Godziny wyjazdu z Zakopanego i Nowego Sącza: 6.30, 8.00, 16.30 i 20.00. Powrót: 14.00, 16.30, 19.00 i 23.00.

Informacji udziela i rezerwację przyjmuje sekretariat WPK, ul. Wyspiańskiego 22, tel. 206-19. Sprzedaż biletów u kierowcy. Przystanek początkowy w Zakopanem obok hotelu „Giewont", w Nowym Sączu na dworcu PKS. Przystanek w Krakowie przed dworcem PKP.

Życzymy zadowolenia z naszych usług.

● **Naczelnik gminy Czorsztyn** ogłasza, że w drodze przetargu nieograniczonego sprzeda działki budowlane na obrzeżu przyszłego zalewu. Cena wywoławcza za działkę 10 arową — 150 tys. zł, za 16 arową — 250 tys. zł. Zgłoszenia przyjmuje biuro geodety Urzędu Gminy Czorsztyn, tel. 363, które poda termin przetargu zainteresowanym. Ilość działek ograniczona. Dla posiadaczy kredytów MM — sprzedaż na raty.

● **Urząd Gminy Chełmiec** ogłasza sprzedaż w drodze przetargu nieograniczonego siedmiu dużych stawów nad Dunajcem (wyrobiska pożwirowe). Pierwszeństwo dajemy chętnym do zarybiania tychże stawów oraz ewentualnemu organizatorowi wypożyczalni kajaków (z małą gastronomią).

Cena jednego stawu — symboliczne tysiąc złotych ze względu na interes społeczny! Informacje telefoniczne: nr 215-61.

● Kierownictwo Produkcji filmu **„Dziewczę z Sącza"**, realizowanego na motywach poematu Mieczysława Romanowskiego, ogłasza konkurs otwarty na obsadę roli głównej. Bohaterka filmu jest sądecką mieszczką z połowy XVII wieku (najazd Szwedów) i powinna być obdarzona urodą oraz przebiegłością. Wiek 18—25 lat, wzrost 160—175 cm, waga 54—62 kg, biust 94—96 cm, włosy długie.

Zgłoszenia kandydatek telefonicznie: Zakopane nr 52—05, Limanowa nr 603, Gorlice nr 212-38, Nowy Sącz nr 217-26 — tylko 31 III i 1 IV br.

O terminie eliminacji i szczegółach dotyczących stroju powiadomi listownie uczestniczki konkursu reżyser filmu, **Andrzej Górszczyk**.

KARTKI Z KALENDARZA

Koniec wreszcie z fikcją! Przedsiębiorstwa handlowe regionu posiadały dotąd oddzielne tzw. kontrole wewnętrzne, których zadaniem było wykrywanie nieprawidłowości w obrębie poszczególnych jednostek handlu. Opinia publiczna nie otrzymując informacji o wykryciu czegokolwiek przez owych kontrolerów, od dawna powątpiewała w sens istnienia tych komórek. Ostatnio nasiliły się głosy, żeby zamiast kontroli wewnętrznej — mało skutecznej, podporządkowanej dyrekcjom przedsiębiorstw — powołać robotniczo-chłopską inspekcję współpracującą z fachowcami Państwowej Inspekcji Handlowej. Uwzględniając te postulaty — **na połączonym posiedzeniu zarządów „Społem", WPHW i „Samopomocy Chłopskiej", które odbyło się w Gorlicach, postanowiono z dniem 1 kwietnia br. rozwiązać komórki kontroli wewnętrznej i przekazać zwolnione etaty do dyspozycji Wojewódzkiej Rady Narodowej.** Przewiduje się, że WRN w porozumieniu ze związkami zawodowymi, samorządem mieszkańców i ruchem konsumentów wyłoni kilkudziesięcioosobową grupę osób o niekwestionowanej uczciwości. Osoby te zostaną urlopowane z pracy na okres roku i otrzymają uprawnienia do systematycznej kontroli magazynów, konwojentów i sklepów. Po roku powołana zostanie kolejna grupa społecznych inspektorów. Bijemy brawo tej inicjatywie i oczekujemy na rezultaty.

● Przebywająca na wypoczynku w Krynicy dr **Michalina Wisłocka** zgodziła się w najbliższy wtorek, 5 kwietnia, uczestniczyć w telefonicznym spotkaniu z Czytelnikami „Sztuki kochania". W godzinach od 11 do 13 dr Wisłocka odpowiadać będzie na pytania pod nr tel. 238-90.

● Dyrektor zakopiańskiego „Empiku", **Danuta Rejdych**, znużona chronicznymi kłopotami przy organizacji Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich — skapitulowała, ale niezupełnie. Zamiast festiwalu folkloru ta niestrudzona animatorka kultury postanowiła organizować **Europejski Turniej Rzeźby w Śniegu**. Czego jak czego, ale śniegu w Tatrach nie brakuje, więc wszyscy są szczęśliwi. Naczelnik **Słodyczka** obiecał wystąpić z umotywowanym wnioskiem na najbliższej sesji MRN. Przewodniczący rady, ob. **Lutrosiński** konsultuje ideę Turnieju z Radą Naukową Tatrzańskiego Parku Narodowego. Do sprawy włączył się również Zarząd

Główny Polskiego Towarzystwa Ekologicznego w Krakowie, który postuluje ograniczenie ilości startujących rzeźbiarzy, a w razie nie uwzględnienia ze wszech miar uzasadnionego niepokoju śniegoznaw-

* PANORAMA REGIONU *

Sensacyjne odkrycie w Niedzicy!

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Ekipy „Energopolu-2" drążące sztolnie na budowie zapory czorsztyńskiej trafiły w pobliżu zamku w Niedzicy na dobrze zachowane podziemne korytarze prowadzące — jak się okazało — w rejon pobliskiego zamku w Czorsztynie. Inż. **Bolesław Kiper** polecił natychmiast przerwać roboty strzałowe i wezwał ekipę ekspertów z Krakowa. Zespół architektów, historyków sztuki i archeologów pod kierownictwem prof. dr **Wiktora Zina** poprosił na wszelki wypadek o pomoc saperów i speleologów. Posuwając się z niezwykłą ostrożnością, badając wytrzymałość stropów — wyprawa badawcza prof. Zina przebyła w ciągu trzech dni pięciokilometrową trasę.

Trudno w tej chwili ocenić, czy wyprawa dotarła już w rejon wzgórza, na którym posadowiony jest zamek w Czorsztynie. Potężny zawał uniemożliwił bowiem dalsze posuwanie się i trzeba będzie zgromadzić większe ilości sprzętu górniczego, by pokonać przeszkodę.

Powrót trwał niewiele ponad godzinę. Przy wyjściu z podziemnych korytarzy czekali na uczestników wyprawy liczni dziennikarze. Służby porządkowe nie zezwoliły nam jednak zajrzeć do wnętrza. Prof. Zin, który wystąpi w głównym dzienniku telewizyjnym w poniedziałek 4 kwietnia — opowie zapewne szczegółowo o sensacyjnym odkryciu; na razie zachował wstrzemięźliwość w udzielaniu informacji i sprawiał wrażenie człowieka mocno zaskoczonego.

Przed dwoma laty pisałam na tych łamach o dziwnej legendzie, która wiąże z Niedzicą sprawę skarbu Inków. Trudno dziś powiedzieć, czy odkrycie podziemnych przejść przybliży rozwikłanie tamtej tajemniczej historii. Faktem jest, że prof. Zin odjechał z Niedzicy mercedesem ze znakami rejestracyjnymi CD. Był to zatem samochód któregoś z dyplomatów. Intuicja podpowiada mi, że najprawdopodobniej idzie o ambasadę Peru. A więc coś chyba jest na rzeczy.

BEATA DEMBOWSKA

Wydarzenia chodzą parami?

Ledwie red. Dembowska wróciła z Niedzicy, zadzwonił dyr. Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, **Andrzej B. Krupiński**, znany naszym Czytelnikom z cyklicznych publikacji o zabytkach regionu: — *Mam dla was niesamowitą historię! W trakcie kwerendy prowadzonej w Archiwum Miejskim pracownica Muzeum Okręgowego mgr Anna Bomba odnalazła XVI-wieczny szkic techniczny zupełnie precyzyjnie opisujący podziemia sądeckiego zamku! Niech pan słucha dalej. Szkic ten w pełni potwierdza domniemania wielu dawnych dziejopisów, którzy twierdzili, że istniały podziemne połączenia naszego zamku ze Świniarskiem i Podegrodziem. Odkrycie to otwiera bardzo ciekawą alternatywę dla zamiarów odrestaurowania sądeckiego zamku. Otóż sądzę, że zamiast kosztownej odbudowy czegoś, co zostało doszczętnie zniszczone, bardziej racjonalne — i o wiele tańsze — będzie odkopanie całego rozgałęzionego systemu średniowiecznych przejść pod Dunajcem (!) i udostępnienie kilku tras wycieczkowych zwiedzającym. Oczywiście, prace zabezpieczające potrwają kilka lat, ale trud ten się opłaci, gdyż takiego znaleziska nie ma żadne z polskich miast.*

— Nie bardzo dowierzamy, panie Andrzeju, w te rewelacje. Dziwny zbieg okoliczności: kilka dni temu Niedzica teraz Sącz...

— *Jestem gotów zrobić kopię dokumentu znalezionego przez kol. Annę Bombę!*

— Wobec tego rezerwuję miejsce w następnym numerze. A przy okazji opowiem panu zabawne zdarzenie sprzed kilku lat. Otóż red. Janusz Koszyk, nieodżałowanej pamięci przyjaciel, przygotowywał materiały na rocznicę wyzwolenia Nowego Sącza. Przyszła wtedy do oddziału „Gazety" przystojna dziewczyna z tekstem o wysadzeniu zamku. Januszowi tekst się spodobał, więc natychmiast przesłał go

do Krakowa z podpisem autorki: Anna Bomba. Chwilę potem odezwał się teleks. Sekretarz redakcji, Władysław Penar, komunikował: *„Czy wam w Sączu robota się znudziła? Który idiota przybrał sobie pseudonim Bomba? Czekam na wyjaśnienia".*

Było to w okresie nierzadkich napięć między oddziałem a centralą, która przetrzymywała teksty, bądź niemiłosiernie je adiustowała. Akurat w tym dniu znów ukazała się notatka okaleczona przez korektę. Więc Janusz odteleksował: *„Idiotą jest ten, kto puścił dzisiaj informację o otwarciu kiosku meblarskiego i podpisał ją moim nazwiskiem. Pisałem oczywiście o kiosku mleczarskim. Czy wy w Krakowie sądzicie, że można meble sprzedawać w kiosku? A mgr Anna Bomba jest pracownicą tutejszego Muzeum. Pozdrawiam."*

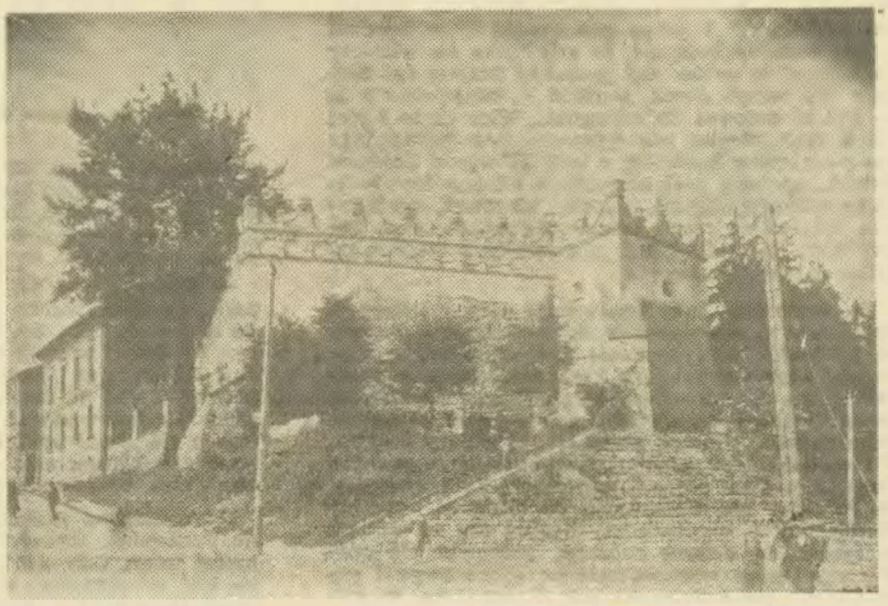

Teleks zamilkł. Przez kilka dni trwało zawieszenie broni między Krakowem i Sączem.

— *Zabawne* — powiedział dyr. Krupiński — *Znowu pani Anna, znowu zamek i... wątpliwości.*

ADAM OGORZAŁEK

ców, zapowiada wniesienie protestu do Sejmu. Z tej strony Turniejowi zagraża poważne niebezpieczeństwo.

● Któryś z „polonusów" bawiących na Podhalu wywiózł za Ocean numer „Dunajca", w którym opisaliśmy niesławny akt likwidacji „wioski indiańskiej" na sądeckim osiedlu „Millenium". Dziwnym trafem egzemplarz naszego tygodnika zawędrował z kolei do rąk wodza wspólnoty indiańskiej Apaczów w rezerwacie stanu Teksas. Wódz Długa Ręka poprzysiągł zemstę prezesowi naszej Spółdzielni Mieszkaniowej. Niezależnie od tego Rada Starszych wspólnoty Apaczów zainicjowała zbiórkę pieniędzy na szlachetny cel odbudowy wioski indiańskiej w Nowym Sączu. Jak donosi nieszczęsny „polonus" — który wywołał tę burzę — dolary płyną szeroką strugą.

W największym kłopocie jest prezes **Skarka**, gdyż zamierzał zamiast wioski indiańskiej zbudować wioskę słowiańską na wzór Biskupina. Teraz stoi na rozdrożu: rodzima tradycja czy amerykańscy Indianie? Dolary czy prahistoria? A czas pili, bo dziatwa, której zabrano plac zabaw, rośnie szybko i niebawem zyska prawo głosu w wyborach władz Spółdzielni. Zemsta Długiej Ręki dokona się wtedy niejako zaocznie.

● Nasz ziomek, minister oświaty i wychowania, prof. dr **Bolesław Faron** okazał zrozumienie wobec powszechnie zgłaszanych uwag krytycznych dotyczących programu nauczania matematyki w szkołach podstawowych i średnich. Sam będąc filologiem przyznał, że nie byłby w stanie zdać egzaminu dojrzałości: — *Właściwie już na poziomie klasy czwartej połowa uczniów musi korzystać przy odrabianiu zadań z pomocy osób starszych* — powiedział reporterowi PAP. — *Dlatego w najbliższych dniach tytułem próby odstąpimy na obszarze jednego województwa od ambitnego, ale nazbyt trudnego programu nauczania matematyki.*

Natychmiast połączyliśmy się z Warszawą. Nasze domniemania okazały się trafne: eksperyment obejmie województwo nowosądeckie! Tak więc nasza młódź może spokojnie świętować Wielkanoc. Wszystkie zadania domowe z matematyki są nieaktualne. Gdyby wiadomość ta nie dotarła w porę do dyrekcji szkół w regionie i nie była respektowana przez nauczycieli, należy interweniować u Kuratora, **Lechosława Mikształa**.

Humanitarna decyzja ministra Farona ucieszy zarówno rodziców jak uczniów.

● Z kamieniołomów w Klęczanach otrzymaliśmy informację: że w trakcie rutynowych robót eksploatacyjnych, tuż po odpaleniu materiałów wybuchowych trysnęła ropa naftowa. Rzeczywiście, od środy pulsujący słup światła widoczny jest z wyższych pięter sądeckich osiedli. Jak wiadomo — twórca lampy naftowej, Ignacy Łukasiewicz, był przez pewien czas współwłaścicielem kopalni „oleju skalnego" właśnie w Klęczanach. Na małą skalę pozyskiwano tutaj ropę do niedawna. Jeśli optymistyczne wieści o wysokim ciśnieniu tryskającej w Klęczanach ropy potwierdzą się miejscowość ta radykalnie odmieni swą sytuację materialną. Właściciele gruntów wygrali tu los na loterii.

● Niebawem oddany będzie do użytku cały kompleks kulturalny noszący imię Janka Krasickiego. W Limanowej od dawna zastanawiano się, jak najracjonalniej zagospodarować ten okazały obiekt, który mieści, między innymi, nowoczesną salę widowiskową wyposażoną w dużą scenę obrotową. Jak podaje rzeczniczka prasowa wojewody, **Eugenia Piecuch**, w wyniku pertraktacji z departamentem teatru w MKiS, na dobrej drodze znajduje się myśl, by utworzyć w Domu imienia Janka Krasickiego stałą filię terenową Teatru „Rzeczypospolitej". Dzięki temu gościć będą w Limanowej w każdy poniedziałek najlepsze polskie zespoły teatralne. W lipcu i sierpniu spektakle odbywać się będą codziennie. W ten sposób aktorzy wypoczną podczas wakacji na pięknej ziemi limanowskiej, zaś turyści i mieszkańcy regionu zyskają możliwość obcowania z wielką sztuką.

JANUSZ ROSZKO

SPOD WIEDNIA

1.

Nie upłynął tydzień od zwycięskiej bitwy, a oswobodzony Wiedeń miał już swoich oswobodzicieli po dziurki w nosie. Jeszcze 17 września komendant Stahremberg wydał zakaz wpuszczania Polaków do miasta. Za pretekst posłużył mu fakt, że jakowyś Polonus strzelił w bramie miejskiej; uczynił to podobno w obronie, bo wydzierano mu konia. Panowało wówczas wśród Austriaków powszechne przekonanie, że Polacy obłowili się na tej wiktorii za bardzo i należy się z nimi łupami podzielić. Gdy więc jechały przez Wiedeń wozy taborowe, pozostawione jeszcze przed bitwą pod Tuln — Austriacy też rościli sobie pretensje do podziału ich zawartości. Król niesłychanie się obruszał na to wszystko, tym bardziej, że gwałty działy się tuż pod jego bokiem. Pazia jadącego za nim jakiś austriacki dragon uderzył fuzją w twarz, drugiemu paziowi — wydarto królewską opończę... Ksiądz Marco d'Aviano, święty człowiek, podobno płakał widząc to wszystko, ale interwencje jego w Wiedniu nie odnosiły skutku. Więc król opisuje wszystko Marysieńce, aby przekazywała te informacje nuncjuszowi papieskiemu w Krakowie, ufny ciągle w talenta dyplomatyczne swej małżonki na zasadzie: „gdzie diabeł nie może".

„Co moment przybiega towarzystwo z płaczem, jako im ich rabują mijające Wiedeń a za nami idące wozy. W koniach podwodnych wielką ponoszą i w rynsztunku szkodę. Stoimy tu nad tymi brzegami Dunajskimi, jako kiedy lud izraelski nad babilońską wodą, płacząc nad końmi naszymi, nad niewdzięcznością tak nigdy nie słychaną, i że tak pogodną nad nieprzyjacielem opuszczamy okazję."

O dalszej wojnie nikt tu nie mówi. Gdyby Sobieski miał lepszych informatorów z kręgu cesarskiego, to dowiedziałby się, że oczekują tam jego powrotu do Polski, a nie deklaracji dalszej walki z poganinem i wymachiwania szabelką „aż do zwycięstwa całkowitego". Umowa z Austrią mówiła o obowiązku uwolnienia od oblężenia stolicy — i tyle. Sobieski wykazuje inicjatywę dalszej walki? Ależ nikt jej nie oczekuje. Zakłopotani Austriacy kiwają się nad stołem podczas zebrania Rady Nadwornej i nie bardzo wiedzą, co dalej. Sobieski narzeka: *„Spodziewaliśmy się, że to tak należało, że się mię spytają, albo spytać każą, jako dalej prowadzić tę wojnę? Aliści nie pytano, ani przysłano."* I jakby nie rozumiał, że Leopold i jego doradcy boją się, że gdy tylko on wkroczy na Węgry, to gotów jest pozyskać koronę św. Stefana dla swego domu, zamiast — odzyskawszy ją — wrócić domowi Habsburgów... Więc może lepiej niech tych Węgier nie wyzwala, tym bardziej że ma podejrzane kontakty z tym Tökolym! Sobieski jednak, opętany poza wszystkim główną ideą krucjaty chrześcijańskiej przeciw islamowi, postanawia działać na rzecz zniszczenia ostatecznego armii Kara Mustafy i jego argumenty z czasem, po kilku dniach, wezmą górę.

Na razie sam król wysłuchuje niezadowolonych najbliższych współpracowników Leopolda, którzy są wściekli na wyniesienie i wynagrodzenie nieproporcjonalne Rudigera Stahremberga z ich pominięciem. Rozgoryczony książę Saxen Lauenburg rzuca służbę i wypowiada w rozmowie ze Sobieskim okrutne słowa z pretensją, że Polacy przybyli Leopoldowi w pomoc: *„Niechby była ta pycha z korzeniem i do szczętu wyginęła"*. Król wściekły, że Polaków nie wpuszczają do Wiednia, chętnie słucha takich wypowiedzi. Martwi się, że wojsku zaczynają się dziwne choroby, *„wszystka się prawie starszyzna rozchorowała na dyssenteryę i gorączki"* — pisze Sobieski już 17 września. W kilka dni później napisze, że już połowę prawie wojska ogarnia choroba, *„która jest zarazą, podobną powietrzowi"*. Wojsko przez cały czas trzyma się Dunaju, podjęło marsz ku Bratysławie jego brzegiem i oczywiście w te upały, które towarzyszą marszom czerpie z rzeki wodę do picia. Nikomu nie przychodzi do głowy, że trzeba by przynajmniej tę wodę przegotować, XVII wiek jeszcze tak daleko w swoich higienicznych aspiracjach nie zaszedł, a fakt, że piją wodę z rzeki tuż poniżej ścieków tak wielkiego miasta jak Wiedeń, nikogo jakoś nie przeraża.

W każdym razie 18 września zdecydowanie ruszyli, choć koncepcja Sobieskiego, aby uderzać na Budę została odrzucona przez cesarskich dowódców. Po co rozbijać od razu główne siły Kara Mustafy? Stanie się to wkrótce, ale przypadkiem, gdy niefortunny wezyr skieruje siły przeciw maszerującym wojskom chrześcijańskim pod Parkanami. Cesarz i jego doradcy każą zdobywać twierdzę pogranicza węgierskiego: Nowe Zamki, Ostrzyhom (Esztergom), ewentualnie Peszt, aby zaszachować w ostatniej fazie Turków w bezpośredniej bliskości. Aliści Nowe Zamki leżą niedogodnie, wśród bagien, są silnie ufortyfikowane i rozwijanie oblężenia w tym niedogodnym terenie bagiennym z uwagi na niebezpieczeństwo odsieczy wydaje się niecelowe... Idą więc na Ostrzyhom, ku przeprawie pod Parkanami, już wówczas zdając sobie sprawę, że Sobieski miał rację i należało iść przeciwko Budzie. Istnieje bowiem przez cały czas zagrożenie ze strony armii Kara Mustafy... Należało na nią frontalnie nacierać. Tymczasem zgodnie z ustaleniami Wiednia będzie się zdobywać Ostrzyhom!

Kraj jest zniszczony przez armie tureckie, trawy wypasione do szczętu, trzeba więc przedostać się na wielką wyspę Schütt, leżącą pomiędzy ramionami Dunaju, w nadziei, że tam się konie no i zdobyczne stada, idące za naszą armią — pożywią. Budowano więc w tym celu most pod Bratysławą, a król tymczasem zwiedzał zamek na górze, brał swoje lekarstwo, sławny merkuriusz na wiadome przypadłości, które nabył od Marysieńki w spadku po jej pierwszym mężu i zachwycał się, że w tej Bratysławie (Preszburk) mają takie delicje jak relikwie św. Jana Jałmużnika; rękę świętego nabożnie całuje, nie dbając, że go okropnie bolą zęby po przyjęciu merkuriusza. I myśli o swych zdobyczach, które częściowo wysyła na wozach pod panem Zdżańskim, głównie namioty wezyrskie, które trzeba złożyć w piwnicach pałacu w Łobzowie i wezwać namiotników ze Lwowa, aby wszystko przejrzeli i ponaprawiali... Wysyła też kołdrę białą z atłasu chińskiego, ze złotymi kwiatkami, nową poduszkę, którą haftowała własnoręcznie żona wezyrska, oraz kobierczyki karmazynowe... Z tym jadą też panowie pokojowi wezyra, którzy mają po tysiącu czerwonych złotych i chcą osiąść kupcami w Żółkwi... Zresztą o zdobyczy opowie szerzej pan Daleyrac, który zawiózł był strzemię wezyra tuż po bitwie Marysieńce, teraz tu wrócił znad Wisły i znów zostaje wyprawiony do Krakowa...

List o Daleyracu pisze Sobieski na chwilę przed ruszeniem się pod Parkany, w dniu 7 października, gdy wszystkie ustalenia nagle zmienił. Piechoty i tabory cesarskie jeszcze powoli gramolą się z wyspy Schütt na ten brzeg.

2.

Pierwsza bitwa pod Parkanami w ogóle nie miałaby miejsca, gdyby nasz miłościwy monarcha Jan III dobrze był spał i nie wstałby w dniu 7 października lewą nogą. Przypomina to tłumaczenie biegu dziejów ludzkości, które potknęły się z powodu kataru Napoleona, ale wybaczcie. Po prostu Jan III wstał i wbrew wszystkim ustaleniom, powziętym poprzedniego dnia z cesarskimi dowódcami wydał nagle rozkaz:

— Maszerujemy na Parkany! Bidziński niech zaraz rusza ze strażą przednią! Goniec niech leci do księcia Karola, żeby podążał z nami. Toteż Stefan Bidziński ustawił swoje chorągwie i ruszył, a Jan III siedział jeszcze w namiocie i gryzmolił namiętnie list do swojej Marysieńki. A potem jeszcze do hetmanów litewskich, którym radzi, że trzeba się *„mieć na wielkiej ostrożności; podjazdy mieć ustawiczne; czat nie rozpuszczać; stawać w miejscach bezpiecznych; trzymać się w kupie..."*

Na wymarszu Bidzińskiemu kazał nie dochodzić do Parkanów, stanąć o kilometr wcześniej i wybadać teren. Gdy już pocztę wyekspediował, siadł na koń — przybiegł od Karola Lotaryńskiego generał Dünewald z przedłożeniami, że marsz taki jest zupełnie ryzykownym. Że przecie wczoraj ustalono, że ordy, że Tökoly, że niebezpiecznie... Król jednak był jakiś poirytowany, wpłynął na to gwałtowny skok ciśnienia atmosferycznego, albo coś jeszcze innego, trudnego do wytłumaczenia —bo stanowiska nie zmienił.

— W Parkanach jest wszystkiego 1000 ludzi. Trzeba zdobyć ten przyczółek, póki nie będzie Turków więcej... A książę Karol niech czyni jak chce — albo niech czeka na swoje piechoty, albo niech idzie za nami... — mówił król nieprzyjemnie poirytowany.

Król najwyraźniej był przekonany, że droga wolna, przeszkód nie ma — a droga ta prowadzi prosto do Budy, o czym napisał przed chwilą do Marysieńki: *„My teraz pójdziemy ku Budzie przecie, ale po tej stronie Dunaju, a oraz i ku Tökolemu, ku któremu wszystkę ordę Wezyr posłał..."*

Ruszyli wszyscy dotychczasowym sposobem, to znaczy nie bardzo wojennym. U dragonów straży przedniej strzelby nie nabite, pod znakami towarzystwa nie nazbyt licznie, bo większość wlokła się przy taborach, doglądając zdobycznych stad wołów, krów, owiec, czy wozów z jukami... Na piknik ciągnęło towarzystwo, nie na wyprawę. Toteż zbudzenie ze snu było gwałtowne, nieoczekiwane i brutalne.

Teren w widłach rzek Hronu i Dunaju jest pofałdowany, tak, że łatwo tam ukryć armię w zapadlinie i nadjeżdżający natknie się na nią dopiero, gdy przybędzie na skraj ostatniego pagórka... Bidziński szedł sobie pod Parkany na luzie, choć zazwyczaj był to wielki gorączka, sławny z pościgu za Turkami pod Chocimiem, gdzie zapędził się nieco za daleko i spadł z dniestrowej terasy na dół do rzeki tak, że nie wierzono, aby zdrowie odzyskał... Faktem, że Bidziński poszedł tutaj nieostrożnie, nie wysłał zwiadowców i działał wbrew rozkazowi króla. Zaszedł za blisko forteczki i ujrzał wtedy niewielki oddział turecki, przemieszczający się wzdłuż brzegów Hronu ku Parkanom. Co robi Bidziński? Napisałem, że był z niego gorączka wielki, więc kazał od razu uderzać na poganina, zamiast zgodnie z rozkazem czekać o milę od mostu na króla z całą armią. Tymczasem pan Stefan sądził, że to oddział idący z Nowych Zamków do Ostrzyhomia i postanowił ich nie dopuścić na most na Dunaju. Chorągwie pognały, łatwo rozgromiły oddziałek złożony coś z 400 Turków — ale wpadły nagle na wielkie wojsko tureckie za pagórem i dostały się zarazem pod ostrzał armat z forteczki Parkany...

Zaskoczenie było zupełne. Nie przypuszczał nikt, żeby tu czekała tak wielka turecka armia! Tymczasem był to nowy pasza Budy, Kara Mechmet, który w nocy z 6 na 7 października przeprawił swoje wojska przez most pod Ostrzyhomiem i czekał już na armię Sobieskiego... Liczył na zaskoczenie i okazało się, że słusznie mógł liczyć, gdyż nikt się go nie spodziewał. Miał z sobą jakieś 15 tysięcy żołnierzy — w tym 2 tysiące wyborowych strzelców, janczarów. Bidziński miał pod sobą nie więcej jak tysiąc, dwa regimenty dragonii i jazdę lekką. I miast postąpić sobie po tatarsku, wykonać w tył zwrot i pędzić co sił ku swoim — pan Stefan uszykował się do walki. Spieszył dragonów i zaczął stawiać opór. Kara Mechmet ruszył do przodu, a pierwsze co zrobił — ogarnął owych spieszonych, którzy nie mogli szybko rejterować... Bidziński postanowił ratować tych ogarniętych przez Turków i nacierał... Tak się zaczęła fatalna bitwa, znana pod nazwą „pierwszej bitwy pod Parkanami". Sobieski, idący z tyłu tylko z jazdą, bo piechoty i artyleria zostały w tyle — stanął już w wiosce Ujfalu, z której świetnie było widać wysokie mury twierdzy w Ostrzyhomiu i niczego nie przeczuwając wydawał rozkazy do rozbijania tutaj obozu. I wtedy odebrał dwa wezwania o pomoc, przy czym w meldunkach tych nie było ani słowa, jak liczny jest nieprzyjaciel. W drugim meldunku już jest jednak hiobowa wieść o wyciętej przez Turków dragonii. Król wysforował się nieco przed konnicę i ujrzał zaraz za fałdą gruntu obraz sytuacji nie nazbyt krzepiący: chorągwie cofały się w chaosie, chmara Turków nacierała. Jabłonowski, który wsparł na krótko Bidzińskiego — też znajdował się w rejteradzie.

Sobieski ocenił prawidłowo przewagę nieprzyjaciela, ale też o ucieczce nie myślał. Typowo polski wódz w fatalnej sytuacji uniósł się honorem, myślał o tym, by własną osobą dodawać ducha wojsku i wytrzymać do przybycia piechoty i wojsk cesarskich, nie przyjmując bitwy. Zamiar był piękny, ale Kara Mechmet wcale się tym nie przejmował, tylko atakował chorągwie polskie. Król szykował swoje chorągwie, słał od razu do Karola Lotaryńskiego o spieszną pomoc, ale sam był już nie najlepszej myśli. Lewe skrzydło formował Feliks Potocki, centrum Marcin Zamoyski, prawe — to był związany już z nieprzyjacielem i cofający się Jabłonowski. Po uformowaniu wojsko wydało się królowi „okrutnie cienkie", no bo pod znakami zbyt wielu towarzystwa nie było, a ci, których nie zmogły choroby — jechali z taborem przy stadach i dobytkach. Przewidział zamiar paszy: że będzie chciał zepchnąć Polaków do Dunaju — wzmacniał lewe skrzydło własne od wzgórz. Gdy Jabłonowski cofając się swoje chorągwie zrównał z czołem szyku, mając Turków na karku — podbiegł do króla i wołał:

— Przez Boga, przez ojczyznę zaklinam WKMć, niechże się wcześnie salwuje!

Król oczywiście widział w tym podstęp Jabłonowskiego, swego rywala i tym bardziej postanowił osobiście dodawać otuchy wojsku. Różnie jednak z tą otuchą bywało. Pokojowiec Dyakowski z rozbrajającą szczerością opowiada po latach, jak to było w tej pierwszej potrzebie pod Parkanami:

„...w tem przypada sam król do dragonii konnej bardzo pięknej i umundurowanej. (...) każe jej król aby z koni zsiadła, oficer mówi: „że niezafasowane lonty" (bo jeszcze lontowej strzelby używano). *Król drugi raz mówi: „z koni — tak ci nasze skoczyli, tak nasi wszyscy w rozsypkę, bo jak z koni zsiedli, tak Turcy na nich wsiedli, i jak owce szablami wyrżnęli, tak że żadnemu nie tylko wystrzelić, ale zapalić lontu i wyfasować nie przyszło. A potem z impetem jak na całe wojsko nasze skoczyli, tak nasi wszyscy w rozsypkę, bo żaden nie miał nabitego muszkietu".*

Kara Mechmet wkrótce spostrzegł, że lepiej mu pójdzie w centrum polskiego szyku, bo lewe skrzydło było zbyt mocne. Atak na oddziały dowodzone przez Feliksa Potockiego nie powiódł się i to była jedyna w całej parkańskiej pierwszej bitwie konfuzja Turków. Drugie ich ustąpienie stanowiło już celowy manewr. Kara Mechmetowi chodziło o to, aby między Dunajem i prawym skrzydłem Jabłonowskiego mógł wprowadzić swoje wojsko na tyły Polaków. Jabłonowski dwa razy go odpierał, Kara Mechmet się cofał, król gwałtownie wołał, aby przypadkiem nikt nie ścigał Turków. Odpierać ataki — to była zasada królewska, aż do nadejścia odsieczy cesarskiej, której nie było widać na razie. Tymczasem za trzecim razem chorągwie pognały do przodu za uciekającymi celowo Turkami i to był kardynalny błąd bitwy. Można po części wytłumaczyć go ferworem bitew-

nym, rozgrzaniem wreszcie wściekłością, spowodowaną stratą kilku dowódców. Nie wydaje się mi jednak, aby wówczas, w tym trzecim ataku zginął wojewoda pomorski Denhoff, musiało to nastąpić później, już w ucieczce, gdy zostali ogarnięci przez Turków.

Gdy prawe skrzydło pognało do przodu — Turcy zawrócili, znów uderzyli, a korzystając z zamieszania i z luki — Kara Mechmet posłał swoje oddziały na tyły Polaków.

Sobieski stał z generałem Dünewaldem przy lewym skrzydle, które stawało dotąd dzielnie. Gdy ujrzał owe watahy, zachodzące na tyły polskich wojsk — od razu uszykował kilka chorągwi husarskich dla odparcia tego zagonu Turków i ruszył z nimi... Niestety, wojska znajdujące się w przodzie rozumiały, iż Sobieski z tymi chorągwiami uchodzi i ogarnęła je gwałtowna panika. Ruszyły za nimi, mając na karkach Turków, uciekały lawiną, pchając wszystko przed sobą. Bitwa zamieniła się w jednej chwili w powszechną ucieczkę. Bezsilny król starał się zagrodzić im drogę, perswadować, tłumaczyć — bezskutecznie. Masa parła do tyłu, rejterada nie do opanowania. Zbrojni, w żelazo zakuci mężowie potrącali tylko stojącego jak posąg króla, który miał jeszcze resztki nadziei. Aż wreszcie samemu przyszło mu brać się do ucieczki, bo został odsłonięty przez wszystkich. Ostatnich Matczyński wołał, aby pomogli bronić króla — ale tych próśb już nikt nie słuchał.

Rankiem przymrozek ściął powierzchnię uprawnych pól, w południe przyświeciło słońce, ziemia rozmiękła i koń królewski biegł po rozmiękłej ziemi nader ciężko. No, królewski ciężar też swoje robił i kobyła z trudem wyciągała nogi z miękkiego gruntu. Po bokach podtrzymywali króla Matczyński i jakiś Czerkies, tak pędzili samotrzeć. Jakubowi kazał król uchodzić wcześniej, paziowie pędzili bokiem. Znów Dyakowski opisuje widzianą na własne oczy ucieczkę królewską; notuje słowa Matczyńskiego, który błaga jakiegoś przejeżdżającego mimo żołnierza:

— *Panie rajtar, tyś spod królewskiego regimentu, wstrzymaj konia a pilnuj nas, będziesz miał wielki respekt i nagrodę, tylko nie odstępuj!*

Rajtar dał się przekonać. Zajął miejsce tuż za koniem króla i tak pędzili razem. Ale już pierwszy Turek dochodził tę grupę, więc Matczyński zaczął znów:

— *Zmiłuj się, panie rajtar, obróć się na tego Turczyna!*

Więc rajtar się zmiłował, zrównał się z Turczynem, strzelił z pistoletu i Turczyn spadł, ale nadjeżdżało już dwóch następnych. Z nimi począł się rozprawiać dzielny żołnierz, zrobiła się koło niego kupka, uciekający słyszeli dwa strzały, które tam padły, ale znajdowali się szczęśliwie już daleko. Dyakowski zapisał: *„a tymczasem umknął król, pod którym już się począł koń rozpierać na tej roli"*.

Tymczasem całe wojsko umknęło jakieś pół mili i wpadło na maszerujące szyki księcia Karola. Turcy zaniechali pościgu i wrócili pod Parkany. Król kazał szukać dzielnego rajtara wykrzykując pod adresem swego wojska uwagi zupełnie nieprzystojne. A to, że *„egzercycji żadnych nie umieją"*, oficerów mają *„niedbalców, głupców, niepilnych"*. Gdy tylko podjechał książę Karol — zaczął go, poobijany i zziajany po milowej ucieczce — namawiać do natychmiastowego uderzenia na Turków. Książę wymawiał się, że *„jeszcze drugie nie nadeszło skrzydło"*, a tymczasem zapadł wczesny jesienny zmrok.

Doniesiono królowi, że rajtara nie znaleźli, pewnie padł w potrzebie. Okropnie to króla zmartwiło, bo miał już dla niego przygotowane „ukontentowanie", tymczasem nawet za duszę jego mszy zamówić nie może, bo nie zna go z imienia! *„Godzien przynajmniej, aby za duszę jego proszono p. Boga* — napisał król do Marysieńki, której już po drugiej bitwie się zwierzał ze swojej wiary w gusła: *„...kiedyśmy szli do nieprzyjaciela, tedy pies jakiś czarny bez uszu ustawicznie nam zachodził drogę, którego odegnać nie możono..."* Król ustawicznie wierzy w jakieś wróżby, złe i dobre, jest przez to bardzo ludzki, mniej posągowy i prawdziwszy, ale czasami chciałoby się mieć go na posągu, wyżej.

3.

Przypuszczam, że noc z dnia 7 na 8 października — była najkoszmarniejszą, jaką w ogóle przeżył Jan III. Gdy już ucichły odgłosy obozowej krzątaniny za kotarami namiotu, gdy żołnierze pokładli się spać — on jeden długo nie mógł zmrużyć oka. Nie tylko bolało go całe ciało, poobijane pancerzami własnych, uciekających przed wrogiem rycerzy, ale znacznie gorzej męczyły go cierpienia duszne. Oto po raz pierwszy i jedyny spotyka go klęska w polu! On, niezwyciężony wódz — musiał uciekać przed jakimś tam młodzikiem, Kara Mechmetem, dopiero co mianowanym paszą budzińskim!!! W niecały miesiąc po wspaniałej wiktorii — klęska, tyle trupów, może i ponad tysiąc strat... Nie uciekał tak, zmieciony falą cofających się w popłochu żołnierzy nigdy, chyba że... Tak, raz jeden, w bratobójczej bitwie pod Mątwami, gdzie dowodzili król i hetman Potocki. Ile to było lat temu? Siedemnaście?!

Przypuszczam, że nie dawał mu spokoju Jabłonowski, że wracała w wyobraźni ta scena, gdy błagał go, aby pierwszy uciekał. Mądrze radził! Teraz królowi wstyd, tym bardziej, że myśli: Jabłonowski teraz się cieszy z mojej klęski, on, rywal do tronu, niegdy przyjaciel najlepszy! Ileż wzdychań wydał z siebie tej nocy Lew Lechistanu, tego nikt nie zliczy. I z cierpienia tego narodziło się postanowienie: zmyć krwią tę hańbę i to zmyć prędko, jak tylko się da!

Niewiele spał, już wczesnym rankiem kazał zwołać polskich dowódców na radę wojenną. Przyszli, usiedli, pospuszczali głowy. Nie mieli odwagi mówić senatorowie, co myśleli. A myśleli, że trzeba już wracać do domu, bo im się przykrzyło już tak długo na wyprawie: od dawien dawna tym pospiesznym powrotem do domu marnowali wszelkie owoce zwycięstwa, nie pozwalali na zupełne pobicie wroga Sobieskiemu. Stefan Czarniecki, niesławny bratanek i imiennik wielkiego wodza z czasów potopu, były marszałek konfederacji gołąbskiej przy królu Michale i zaprzysiężony nieprzyjaciel Jana Sobieskiego zaczął wreszcie pierwszy:

„— Kto się mści dwa razy, bity bywa. Wiesz to WKMść bardzo dobrze, że tu assystując majestatowi jego, kwiat ojczyzny wysypał się i wszystkie ordines za granicę wyszły. Któż się w Polszcze został? Baby i dzieci. Nie daj Boże takiej drugiej klęski, żebyśmy na warneńskie nie przyszli, gdzie król Władysław Polski i Węgierski obojga narodów wojska zgubił i sam zginął... Dosyć nam łaski boskiej zwycięstwem wiedeńskim zaszczycać się..."

Król nie przerywał, nie irytował się, dał innym mówić. A inni podjęli ten sam wątek: wracać do kraju, wystarczy nam wiktoria wiedeńska.

Kiedy ostatni z senatorów skończył, król porwał się, uderzył obiema rękoma w stół, aż wszystko zakołysało się: *„— A to co mości Panowie?! Gdzie u was staropolska odwaga, gdzie zaszczyt ojczyzny, który nam zostawili przodkowie nasi? Tę radę w was strach sprawuje: że lubo wczora wojska podrwiło, jutro się poprawi, bo to nie nowina...*

Ktoś bąknął od stołu o fortunie, król usłyszał.

— *Co o fortunie mówicie, zdepcę ją jako małpę, a Boga poprzeprosiwszy obaczycie jutro odmianę. Kogo poczciwość rządzi i kto w służbie wojennej zostaje, opowiadam, że jutro wydaję batalię!* — zawołał król, zadowolony, że na tę radę nie prosił cesarskich dowódców. Trzeba by odnieść konfuzję i tutaj, a tak Bóg ustrzegł. Teraz kazał wołać do stołu najwyższych wodzów — aby ułożyć plac batalii i na papierze wypisać szyk, w jakim jutro się mają ustawić.

Postanowiono rozegrać bitwę w tym samym miejscu, co wczorajsza. Lewe skrzydło pod Jabłonowskim, musi wytrzymać cały napór, bo Kara Mechmet na nie się rzuci niechybnie. Prawe rozstrzygnie batalię; niech je sprawuje Hieronim Lubomirski, przy nim król będzie. Z dowódcami było już krucho: Sieniawski chory, Denhoff zabity, inni ranni... środek trzymać będzie książe Karol Lotaryński. Piechoty, po bokach jazda cesarska, przed nimi artyleria i piechoty. Szyk długi w sumie na jakieś 5 kilometrów. Gdy rozgorzeje bitwa — husarie pod Lubomirskim podejdą, zasłonięte wzgórzami, koło forteczki Parkanów i rzucą się Turkom na tyły. Taki, z grubsza biorąc, nakreślił Sobieski plan bitwy. Zaczęła się ona 9 października stosunkowo późniejszą porą. Była sobota, ale król postanowił nadrobić wszelkie zaległości w swej dewocji, gdyż poprzednią parkańską bitwę uznał za karę bożą... Trochę w tym było racji, ale Jan nie bardzo wiedział, za co Bóg karze. Przypuszczał, że niedostatek modlitwy, podczas gdy karał go za nieporządek w wojsku, za nierozdane na czas lonty, niewysłane na czas zwiady, za brak dyscypliny w oddziałach, których polowa pilnowała juków zdobycznych w taborze lub stad bydła...

Niemniej jednak król rankiem odbył spowiedź, komunikował się, słuchał mszy świętej razem z dowódcami... Generał Kątski z pewnym przekąsem nawet odnotował w swoim dzienniku: *„po strasznej ofiarze, spowiedziach i adhortacjach przez Księży, y que Divina być mogły, ruszył się król JMć pełen będąc ufności w miłosierdziu Bożym y dobrey nadziei"*.

Tak rozpoczynało się owo „deptanie fortuny jako małpy" przez Jana, który nie tylko jak się okazuje w modłach pokładał całą nadzieję, ale na szczęście także i w wojsku. Tutaj niczego już nie zaniedbał. Języki były połapane, wiedziano dokładnie co się dzieje w okolicy, nawet więcej niż w istocie — bo powiedziano im, że Tatarzy i Tökoly ciągną Kara Mechmetowi Paszy na pomoc. Nie byli nazbyt blisko — ale król i na tę ewentualność był przygotowany. Piechoty idąc na pozycje niosły przed sobą drewniane „kobyłki" alias „konie fryzyjskie", które miały je osłonić przed nagłym atakiem tureckiej jazdy... Przezorność wykazał król tedy nadzwyczajną. Wiedział, że fortuny się tak łatwo nie zdepcze, trzeba tę imprezę przygotować w każdym najmniejszym szczególe.

Dopiero około południa wojska stanęły na pozycjach, w tym samym krajobrazie, w tym samym miejscu, gdzie rozgrywała się bitwa przedwczorajsza. Przed sobą mieli rzekę Hron, wpadającą do Dunaju nieco poniżej Ostrzyhomia, po prawej ręce Dunaj z forteczką Parkany, przycupniętą nisko na tym brzegu rzeki. Za rzeką wznosił się wysoki gród Ostrzyhom z wyższym jeszcze, na wysokiej skale położonym zamkiem. Forteczka Parkany osłaniała most na Dunaju, wiodący do Ostrzyhomia. Dzielny wódz turecki Kara Mechmet, rozgrzany niedawnym zwycięstwem, wsparty posiłkami przez Kara Mustafę, nadesłanymi z Budy, nie przeląkł się straszliwego Lwa Lechistanu, który następował właśnie. Wiedział, że ten Lew jest do pokonania, ale nie brał pod uwagę, że tym razem Lew nie został zaskoczony. Że to on sam Wielki Giaur, podejmuje inicjatywę bitwy.

Kara Mechmet popełnił pierwszy błąd: dał się wywabić do ataku. Ruszył pierwszy, aby natrzeć na uszykowane do bitwy wojska sprzymierzonych. I jeden i drugi wódz mieli za cel zepchnięcie do rzeki swoich wrogów i potopienie ich: Kara Mechmet myślał, że uda mu się zwrócić front uderzając na lewe skrzydło Jabłonowskiego i zepchnąć przeciwników do Dunaju. Sobieski atakując swoim prawym skrzydłem — jak zwykle zresztą rozstrzygającym — marzył o potopieniu pogan w mokradłach przyległych do Hronu. I jemu udało się to marzenie urzeczywistnić — dzięki dokładnie realizowanemu planowi bitwy.

Zaczęło się, jak Sobieski przewidział: Kara Mechmet rzucił się na skrzydło hetmana Jabłonowskiego. Hetman stawał dzielnie, ale Kara Mechmet coraz więcej oddziałów słał przeciw jego skrzydłu. Tymczasem król kazał zniżyć kopie husarii na prawym skrzydle i iść do przodu. Żeby las kopii nie wystawał zza pagórków, pod osłoną których szli z boku, odcinając Turkom dostęp do Dunaju i biorąc ich półkolem... Manewr nie udał się w pełni, zepsuł go Ludwig margrabia Badeński ze swoimi rajtariami, który się bez rozkazu do husarzy Lubomirskiego przyłączył i szedł na skrajnej, najbardziej widocznej pozycji.

Niewiele zresztą pomogło młodemu tureckiemu wodzowi to odkrycie: prawie równocześnie nastąpiły dwa uderzenia frontalne sprzymierzonych. Michał Rzewuski poszedł na czele 10 chorągwi husarii hetmańskiej, a generał Günewald, który zajmował pozycję między Jabłonowskim, a piechotami Stahremberga — wyprowadził swoje rajtarie. Uderzenie było tak mocne, że Kara Mechmet, ranny w głowę, rzucił się do ucieczki. Za nim wojska. Pognali na łeb na szyję prosto na most, ale tutaj zaraz Kątski skierował ogień swoich armat. Kilka setek zaledwie zdążyło przejść na drugi brzeg Dunaju, gdy pod ciężarem wojsk i mocnym ostrzałem most rozerwał się.

Jest jeden epizod w tej bitwie, na który chciałem zwrócić szczególną uwagę. Część wojsk naszych podeszła bliżej forteczki Parkany i ujrzała obraz, który ich pobudził do szału. Oto na palisadzie, powbijane jedna koło drugiej, tkwiły głowy polskich rycerzy, zabitych w czwartkowej bitwie. Ten widok tak rozsierdził polskich żołnierzy, że nie dawali pardonu. Stłoczonych w ciasnym przejściu między forteczką parkańską a Dunajem Turków, którzy parli do nieistniejącego już mostu — masakrowała artyleria, a reszty dokonywali żołnierze szablą. Mało kto uchodził z życiem; tych, którzy rzucali się na oślep w nurty rzeki topiono z broni palnej, strzelając jak do kaczek. Dyakowski u boku króla oglądający tę masakrę napisał, że mało który Turek dopłynął do przeciwległego brzegu: *„bo się Dunaj tak od zawojów i mycek tureckich zabielił, jak gdy kwiat na stawie kwitnie"*.

Jeszcze Turcy chcieli rzucić się od rzeki na regimenty piechoty, ale ta zjeżyła piki i odparła atak ostatni. Przez wyrwane dziury w palisadzie wdzierali się nasi do forteczki, której obrońcy już wywiesili białe chorągwie. Aż dziw, że wielu z nich wzięto w niewolę, darowując życie... *„Myśmy też im dali spokój, topiąc więcej niż przez dwie godziny i z muszkietów i z broni ręcznej z działek tych, co do mostu zerwanego uciekali..."* — zapisał w swoim diariuszu generał Kątski. Aliści czeladź grasowała po Parkanach niezgorzej, rabując i mordując, aż wreszcie ktoś zaprószył pożar. Ogień wzbił się nad palisady, w popiół poszły domy i fortyfikacje Parkanów.

„Jako to dobry P. Bóg, moja jedynie kochana Marysieńku! Za małą konfuzją dał większe zwycięstwo, niżeli pod Wiedniem". — pisał Jan do żony następnego dnia. Była niedziela, oba wojska — polskie i cesarskie stanęło w paradnym szyku nad Dunajem, z jednej i z drugiej strony po trzykroć na wiwat wystrzeliły armaty i śpiewano „Te Deum". Wiktoria istotnie była potężna, gdyż ostatnie wojsko, jakim dysponował Kara Mustafa — zostało rozbite i zdziesiątkowane, przestało praktycznie istnieć. Turcy nie mieli już armii.

(Ciąg dalszy za tydzień)

Antoni Kroh

PANI DZIEDZICZKA
czyli ironiczny uśmiech fortuny

Przed paroma laty — owszem, tak jest, w połowie lat siedemdziesiątych — złożyłem wizytę Pani dziedziczce, mieszkającej w rodzinnym dworze.

Siedziała właśnie na ganku i łuskała groch. Najpierw rzuciła na mnie spojrzenie bardzo podejrzliwe, zażądała okazania legitymacji służbowej, a po chwili wspaniałym gestem, nędznie naśladowanym przez współczesne aktoreczki, wyciągnęła rękę na powitanie. Skłoniłem się, ucałowałem delikatnie nawoskowaną jakby, cieniutką skórę jej kruchych palców. Wprowadziła mnie do salonu, poczęstowała herbatą Ulung świeżo zaparzoną oraz ciasteczkami petit-beurre, ułożonymi wytwornie na nieborowskiej porcelanie. Zasiedliśmy w antycznych fotelach, z mojego zresztą wylazła sprężyna, w dupę mnie kłując boleśnie, ale starałem się trzymać fason, aby wstydu samemu sobie oraz macierzystej instytucji nie zrobić. Stolik w stylu Księstwa Warszawskiego, niewątpliwy autentyk, nakryty był zgrzebnym płótnem z literami PKP (firanka?), aby było wytworniej i aby nie było widać, że fornir odpada.

Zaprowadził mnie do tego dworu szczęśliwy traf. W listopadzie dyrekcja naszego muzeum otrzymała drogą telefoniczną wiadomość że z funduszów Toto-Lotka przyznano nam sto tysięcy złotych na zakup eksponatów. Mieliśmy owe sto tysięcy wydatkować w nieprzekraczalnym terminie do dwunastego grudnia.

Radość zapanowała ogromna.

Rada w radę, zamówiliśmy u miejscowych plastyków rzeźby, z których pierwsza kosztowała trzydzieści dwa, a druga trzydzieści sześć tysięcy złotych. Zapłaciliśmy uczciwie, bez oszukaństwa, za wszystko, co można było znaleźć w tabeli: honorarium zasadnicze, obliczone na podstawie wymiarów rzeźby w centymetrach według Cennika Związku Polskich Artystów Plastyków, plus dodatek za ekspresję, plus dodatek za walory poznawcze, plus dodatek za kształtowanie postaw młodego pokolenia. Niestety! Mimo że nasz księgowy dał z siebie wszystko, mimo że dodano rzeźbom monumentalne podstawki, aby były wyższe — pozostały jeszcze do wydania trzydzieści dwa tysiące, straszna kwota.

Wysłany więc zostałem na tak zwaną penetrację terenową.

— Znajdź, co chcesz — powiedziała mi kierowniczka na pożegnanie — a bez eksponatów, wartych w sumie trzydzieści dwa tysiące, nie wracaj. Honor muzeum w twoich rękach.

Chodziłem tedy po prośbie od wsi do wsi, od chałupy do chałupy. Prosiłem, by dobrzy ludzie przez miłosierdzie zechcieli przyjąć ode mnie trochę grosza. Choćby pięćset, choćby dwieście złotych! Niczego za to nie żądałem, jak tylko starych, niepotrzebnych rzeczy, brudnych, pogardzanych i niezgodnych z duchem epoki.

Przyjmowano mnie na ogół chłodno, podejrzliwie, a niekiedy wręcz gburowato.

Adwent był, zbliżały się Godnie Święta. Według prastarych wierzeń ludowych snuły się po dziedzinach różne strzygi, mamuny, mordowiska i boginki. Toteż nie dziwiło mnie zbytnio, gdym szedł drogą, że złotowłose, zamorusane słowiańskie brzdące wołały: „O, kusy idzie, kusy!" — Tak oto — myślałem sobie — stare podaje rękę nowemu. Oto prastare wierzenie o diable dopasowało się — jakże adekwatnie! — do wymiarów i stanu zachowania mojej kurtki.

Takim myślom oddany, pełen nadziei, że uda mi się pozbyć choćby części owej monstrualnej sumy pieniędzy, znalazłem się ni z tego ni z owego pośrodku grabowej alei. Prowadziła do dworu, a chociaż mocno przerzedzona i zapuszczona, prowadziła w sensie prawie dosłownym; nie było możliwe ot tak po prostu pójść sobie dalej, zwyczajnie, swoją drogą, lecz trzeba było skierować się ku bramie, zdjętej z zawiasów i ciśniętej pod kruszejący mur, w pokrzywy, przeciąć na ukos gazon, zarośnięty psią trawką i szczawiem, spłoszyć kroczące poważnie kury i głupawe króliki, dotknąć dłonią, a choćby tylko wzrokiem spękanej, ciemnobrunatnej kory starego wiązu, co od wielu dziesiątków lat ściąga na siebie pioruny i ratuje dom od zagłady, nieustannie narażając swe zielone życie, poczuć się jak intruz, a jednocześnie na swój sposób u siebie, obco i rodzinnie zarazem, zachować godną postawę wobec ujadających kundli, podejść pod ganek, zadrzeć głowę do góry i pokłonić się zasuszonej przygłuchej staruszeczce.

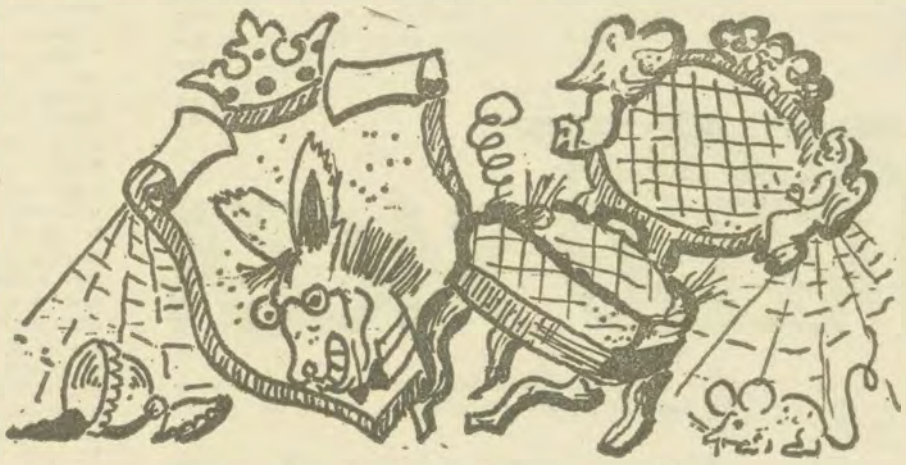

Zacząłem od tego, że głośno i wyraźnie powiedziałem swoje nazwisko — nauczyłem się tego w szlacheckich wioskach na Podlasiu. Dodałem dla jasności, że pracuję w muzeum.

— Muzeum? To niech no pokaże legitymację — z wysokości ganku powiedziała staruszka, po nauczycielsku wymawiając każde słowo z osobna. Opierała łokcie o spękaną, kamienną balustradę. Spodziewałem się, że uspokoi psy, ale tego nie zrobiła; przypatrywała mi się tylko uważnie, obracając w palcach legitymację, której nie uznała za potrzebne otworzyć.

Zadzierałem ku niej głowę, jednocześnie próbując się ukłonić. Wyglądało to bardzo śmiesznie i głupawo. Psy ujadały wściekle, podchodząc coraz bliżej, a najgorszy był wilczur, który stał w milczeniu, minę miał skupioną, podwinął ogon i tyko czekał na sposobny moment.

Starsza pani zawahała się przez chwilę, zastanowiła. Miała chyba z dziewiećdziesiąt lat i bardzo piękne, przeźroczyste oczy.

Odpasała fartuch, obciągnęła czarną suknię jak ze starej fotografii i zrobiła zapraszający gest. Pchnęła drzwi ramieniem; znalazłem się w ciemnej, do niemożliwości zagraconej sieni. Niechcący kopnąłem jakieś wiadro. Gdaknęła kura, skrzypnęła podłoga.

Weszliśmy do saloniku. Poprosiła, bym usiadł. Machinalnie poprawiła serwetkę z wielkim napisem PKP, leżącą na antycznym stoliku.

— Maryniu! — zawołała w ciemność korytarza — podaj nam herbaty! Odwiedził nas pan kustosz!

Uśmiechnęła się uprzejmie.

— Wie pan — powiedziała — w tym roku wyjątkowo obrodził groch. Tłuste, spasione strąki. Łuskam już czwarty dzień, a robota jeszcze w lesie.

— Ach, tak — westchnąłem niepewnie, nie miałem bowiem pojęcia, jak podtrzymać konwersację na temat grochu. Konstatowałem tylko z przykrością, jak strasznie jestem niewyrobiony towarzysko.

Zapadła chwila ciszy.

— No i co dobrego w muzeum? — spytała z serdecznym zainteresowaniem.

— Pani zna nasze muzeum? — ucieszyłem się.

— Nie, nie znam, dlaczegóż miałabym znać? Nie wiem nawet, z którego pan miasta.

— Dziękuje, wszystko po staremu. Mamy tylko ostatnio straszny kłopot: dostaliśmy kilkadziesiąt tysięcy złotych ekstra i nie mamy na co je wydać. Chodzę po terenie i na gwałt szukam eksponatów.

— Bardzo oryginalny kłopot. Za moich czasów ludzie o wiele częściej narzekali na brak funduszów, niż na ich nadmiar — uśmiechnęła się.

— Och, nie taki oryginalny, to masowe zjawisko. Zwykle pod koniec roku instytucje pozbywają się pieniędzy, jak tylko mogą. Myśmy na przykład kupili parę dni temu trzydzieści szczotek do zamiatania, dwadzieścia wycieraczek, pół szafy żarówek, a ile ścierek i środków piorących...

— Nic dziwnego. Taki wielki gmach...

— Nie, proszę pani. Nasze muzeum jest niewielkie. Szczotki i wycieraczki zawsze się przydadzą, mogą leżeć w magazynie przez długie lata. A pieniądze trzeba przecież wydać, bo inaczej w przyszłym roku obetną.

— Wybaczy pan, ale nie rozumiem. Kto obetnie? Co obetną?

— Pieniądze na paragrafie. Tylko na to czyhają.

— Przykro mi ogromnie, ale w dalszym ciągu nie rozumiem. Co to znaczy „obciąć pieniądze na paragrafie?"

Ale nie była ciekawa wyjaśnienia, bo mówiła dalej:

— Wie pan, coraz mi trudniej porozumieć się po polsku z młodymi, wykształconymi ludźmi. Nie znam najbardziej podstawowych pojęć, oczywistych dla każdego zawodowo czynnego człowieka. Do głowy by mi nie przyszło, że podczas kiedy my siedzimy sobie tutaj i gawędzimy, gdzieś w dalekim mieście obcinają komuś na paragrafie.

— Weszła gruba wiejska babina, niosąc na srebrnej tacy filiżanki, cukiernicę i paterę z herbatnikami. Spostrzegłem cienką warstewkę kurzu na ciasteczkach.

— Bardzo proszę, proszę, pan będzie łaskaw. I niech pan mówi dalej, to bardzo ciekawe.

— Cóż w tym ciekawego? Przecież to normalka.

— A czemu pan nie powiedział: „przecież to normalne"?

— Bo to co innego znaczy. Jeśli mówię „to normalne", znaczy to, że uważam coś za rzecz normalną. Jeżeli zaś powiem „to normalka", chcę wyrazić, że według mnie coś jest nienormalne, a mimo to normalne, zwyczajne. Nie jestem pewien, czy się jasno tłumaczę.

— Zdaje się, że pana rozumiem. Chociaż bardzo to dla mnie, szczerze mówiąc, egzotyczne.

— Och, pani jest również dla mnie bardzo egzotyczna — wyrwało mi się. Poczułem, że popełniłem gafę. Ale starsza pani obróciła to w żart.

— No pewnie — powiedziała. — Diedziczka we dworze. Fotele, srebrna cukiernica, służąca. Ma pan uczucie, że jakiś wehikuł czasu przeniósł pana w w dziewiętnaste stulecie.

Zdaje się, że się trochę zaczerwieniłem. Ale nie mogłem odmówić sobie pytania:

— Jak to się stało, że pani wciąż tu mieszka?

— Och, nic szczególnie interesującego. Mój świętej pamięci mąż miał pewną słabostkę: lubił grać w karty, no i ze sporego majątku zostało nam w czterdziestym piątym roku nieco ponad czterdzieści hektarów. A więc reforma rolna już nas nie objęła. Mąż zresztą wkrótce umarł, a ja sprzedawałam po kawałku tę resztkę, co nam pozostała. Szkoła przecież wciąż potrzebowała funduszów.

— Jaka szkoła?

— Zwykła, wiejska szkoła. Mój mąż, pan rozumie, dosyć rzadko bywał w domu. Mieszkałam właściwie sama; przerobiłam więc pokój stołowy na izbę szkolną. Było to na początku lat dwudziestych kawał czasu. A pan, przepraszam że pytam, w którym roku urodzony?

— W czterdziestym drugim.

— Ojej, to do mojej szkoły chodziły już wtedy dzieci uczniów z pierwszych roczników

— W czasie wojny?

— No naturalnie. W czasie wojny także są dzieci, które powinny się uczyć. Pod tym względem czasy wojenne nie różnią się niczym od pokojowych. Może ciasteczko?

— Moja ciocia także brała udział w tajnym nauczaniu — pochwaliłem się.

— To ma pan bardzo dzielną ciocię. Ja, cóż ,nie brałam udziału w tajnym nauczaniu. Ja to robiłam jawnie, przecież taka rzecz na wsi się nie ukryje. Cóż to za konspiracja, o której wiedzą wszyscy w całej okolicy. Więc po prostu jesienią zrobiłam zapisy do szkoły i dzieci przychodziły jak dawniej.

— A co na to Niemcy?

— Jakoś niezbyt się naprzykrzali. W moim życiu było, proszę pana, bardzo wiele szczęśliwych przypadków. Fortuna wciąż się do mnie uśmiechała. A w czasie wojny ratował mnie przede wszystkim brak wyobraźni. Gdybym miała większą wyobraźnię, nie byłabym w stanie tego wszystkiego przetrzymać

Po wojnie szkołę upaństwowili. Przyszedł nowy kierownik, ogromnie zapalony i pracowity chłopiec, ale, przykro mi o tym mówić, nie potrafiłam jakoś dojść z nim do porozumienia, no i musiałam odejść. To znaczy odejść ze stołowego do saloniku. Zresztą wkrótce wybudowano nową, ładną szkołę, stołowy opustoszał i teraz ta rudera nikogo nie obchodzi. Wielka szkoda, bo to zabytek, zbudowany na początku dziewiętnastego wieku, modrzewiowy. Ale ja nie mam pieniędzy ani siły, by utrzymać to w jakim takim stanie.

Uśmiechnęła się.

— Bardzo pan łaskaw, że chce się panu tutaj siedzieć i tracić czas ze zdziwaczałą staruchą. Ludzie teraz nie lubią zawracać sobie głowy błachostkami, więc od dawna nikt mnie nie odwiedza

— Ale co pani mówi, ogromnie mi przyjemnie, nie tracę czasu bynajmniej.

— I owszem, traci pan. Bo pan tylko czeka na stosowny moment, by podejść mnie w rozmowie i zaproponować mi sprzedaż któregoś drobiazgu. Rozgląda się pan ukradkiem po pokoju i szacuje pan w myśli: porcelana

korecka, portret sarmacki z XVIII wieku, najprawdopodobniej szkoła Smuglewicza, a może nawet sam Smuglewicz, to by była sensacja! Srebrne sztućce, zastawa, a i w komodzie także warto pogrzebać. Taki śmierdzący, zatęchły pokój staruszki to dla pana wspaniałe łowisko. Ale ja panu niczego nie sprzedam i nie pozbędzie się pan u mnie tych swoich kłopotliwych państwowych pieniędzy.

— Ale...

— Niech się pan nie fatyguje. Nie sprzedam, bo nie widzę powodu. Pieniędzy prawie nie wydaję, jeść mam chwała Bogu co, życia mi już pozostało bardzo niewiele. Wszyscy moi bliscy dawno już odeszli, a jedyni moi rówieśnicy ,to te parę drobiazgów. Mówię: rówieśnicy, bo pamiętam te rzeczy z dzieciństwa. Dajmy już spokój, niczego pan u mnie nie wywojuje.

— A czy nie sądzi pani, że tego rodzaju zabytki powinny znaleźć się w muzeum, aby całe społeczeństwo...

Zakręciła młynka palcami. Znałem ten gest tylko z powieści.

— Młody człowieku, niech pan najpierw przynajmniej jedno dziecko nauczy czytać i pisać, niech pan posadzi chociaż jedno drzewo, a dopiero potem niech mi pan udziela cennych pouczeń. Skoro pan tak szanuje pamiątki przeszłości, to niechże mi pan łaskawie pozwoli umrzeć spokojnie. Ja również jestem zabytkiem.

Zrobiło mi się bardzo nieprzyjemnie. Zauważyła to i załagodziła:

— A pewnie, że jestem zabytkiem. Nazywam się Bobrownicka. Nasz ród już w pierwszej połowie XVII wieku wymieniono w herbarzu, i to nie byle jakim, bo w „Liber Chamorum". Mój dziewierz był ogromnie z tego dumny i nieraz recytował przy różnych okazjach: „Bobrownicki nazywał się Matyjasz, rymarz na Kleparzu przed bramą Sławkowską". Ten, kiedy się upije, to synom swoim mówi: „Ślachtaście wy, i ja ślachcic, bo to przezwisko Bobrownicki ślacheckie słowo, zaczym i ja ślachcic jestem". „Beł on na Kleparzu i anno 1632. Synowie jego na służbę chcą się udać, dopieroż ślachty rymarskiej przybędzie! Będą uzdeczki drogie, gdy rymarze na ślachectwo poodchodzą." Tak, proszę pana, plebejski rodowód z pierwszej połowy XVII wieku to słuszny powód do szlacheckiej pychy. A któż mógł przypuszczać, jakiej aktualności nabiorą po stuleciach słowa z owej zaślinionej księgi. Dzisiaj prawie wszyscy na szlachectwo poodchodzili, przynajmniej w swoim mniemaniu, a uzdeczki bardzo, bardzo podrożały. Są tak drogie, że ich w ogóle nie ma, bo nikogo nie byłoby na nie stać.

Spojrzała na mnie; zdawało mi się, że z pewną sympatią.

— Och, niechże pan nie robi takiej smutnej miny. Proszę sobie uświadomić, że wiele dzieł sztuki uratowało się w czasach okupacji wyłącznie dlatego, że muzealnicy nie zdążyli ich przedtem wypatrzyć. Lepiej, żeby moje rzeczy znalazły się kiedyś w rękach jakiegoś bogatego snoba, niż w muzealnym magazynie albo gablocie, niby wypchana sowa ze szklanymi oczyma. A zresztą, gdy tylko zamknę oczy, okoliczni chłopi natychmiast wszystko rozgrabią. Będzie to zgodne z wielowiekową tradycją, nie sądzi pan?

— Szczerze mówiąc, sądzę coś zupełnie innego.

— Oczywiście. I z pewnością ma pan sporo argumentów. Ale nie chce mi się ich słuchać.

Wstała.

— Dziękuję, że był pan łaskaw mnie odwiedzić. Proszę jeszcze kiedyś do mnie zajść, gdy będzie pan w naszych stronach. Bardzo mi było miło.

Wstałem również. Jęknęły sprężyny w fotelu. Miałem ochotę rozetrzeć sobie obolały tyłek, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Powiedziałem kilka miłych słów.

Odprowadziła mnie na ganek, powtórzyła swe zaprosiny, a ja swe podziękowania. Wszystko to było ogromnie nierealne — tym bardziej, że u wylotu grabowej alei zachodziło właśnie kiczowate, czerwone słońce.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło. Wiem, że to strasznie banalne, ale tak było naprawdę. Dotarłem do szosy, i miałem szczęście, bo zabrałem się do miasta na łebka ciężarówką, wypełnioną ryczącymi przeraźliwie, nie pojonymi cały dzień krowami.

REANIMACJA

O aresztowaniu Stefki Jabłkowskiej dowiedziałem się przypadkowo od Marcina.

Aby od strony rzeki dojść do mieszkania Marcina, trzeba minąć po drodze dwa zakłady pogrzebowe, jeden naprzeciw drugiego. Na ulicy stoi zazwyczaj chłopska furmanka; dzieciak z wielką powagą na twarzy i poczuciem odpowiedzialności w sercu oraz smarkami pod nosem siedzi na koźle, trzymając lejce, chociaż koń nie ma najmniejszego zamiaru uciekać, a tylko patrzy smętnie w perspektywę ulicy, aż hen, za krańce miasteczka, ku ciemniejącym pagórkom. Chłop i trumniarz ostrożnie, pieszczotliwie wsuwają powoli mebel na furmankę. Trumna nie ma się prawa zadrapać, musi przecież mieć wygląd jak się należy, wszyscy na pogrzebie będą podziwiać; drogi, piękny mebel, ileż to lat trzeba się go dorabiać! Gdy wieje wiatr, ponad głowami przechodniów huśta się i podzwania blaszany wieniec z pięknie wkomponowanym napisem: „Zakład trumien — usługi dla ludności".

Na tejże ulicy mieści się także zakład fotograficzny „Afrodyta", prywatna piekarenka z obitym blachą kontuarem, w której warszawiak może zapoznać się z zapachem prawdziwego chleba, wytwórnia lodów wielosmakowych „Riwiera", o którą koniecznie wypada zawadzić, wychodząc z kościoła po niedzielnej mszy, bar mleczny, resztki średniowiecznych murów oraz kapliczka ze świętym Janem Nepomucenem, nieudolnie zapaćkanym farbami. Z tego miejsca można już usłyszeć bełkot rzeki i poczuć na twarzy jej delikatny zapach.

Tutaj mieszka Stefka Jabłkowska. Trumniarze zarobią na niej raczej niezbyt wiele. I chyba nieprędko.

Dom w którym mieszka, jest stary, obskurny i pełen uroku, jak zresztą cała ulica. Do bramy wchodzi się po kilku kamiennych stopniach, w których wydeptano dołki przez kilkadziesiąt lat bezsensownego chodzenia w tę i z powrotem. Klatka schodowa wilgotna i ciemna, za nią podwórko z chorą na gruźlicę topolą i kilkunastoma koszami od śmieci, pełnymi wszelakiego dobra. Bo w tym mieście ludziom nie zawsze się przelewa, ale koszom od śmieci prawie zawsze. Kot siedzi, spogląda nieufnie, z mądrością. Pijak opiera się niepewnie o topolę. Wreszcie zauważył przechodnia; dopiął więc swego i odchodzi, lekko speszony. Nieco w lewo ogródek, maleńki jak pokój w nowym budownictwie, ogrodzony często kołem ze starych opon samochodowych, a w nim krzak róży, buchający dziką czerwienią. Potem jeszcze jedno podwórko z klatkami na króliki i napisem „Uwaga, zły pies!" obok uwiązany ratlerek z nieuleczalnym weltschmerzem w oczach, i po drewnianych schodach, stareńkich, obok szafy z mosiężnym skobelkiem, zabitej na krzyż nie heblowanymi deskami, mijając drzwi z napisem „Ustęp" i drugie drzwi z mosiężną wizytówką, na której zawijaste litery układają się w napis Józefostwo Serafinowie", przecinając smugę światła, padającą na tabliczkę „Dowód ofiarności zwalniający od dawania jałmużny", przeciskając się wśród skrzynek UNRRA i nierealnych komódek, naddzierając plakat Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, wchodzi się na trzecie piętro, do Stefki.

Stefka Jabłkowska jest kobietą lat około sześćdziesięciu. Charakteryzuje się ona głęboką wiarą w zjawiska nadprzyrodzone oraz przykrym zapachem; nie myje się, bo nie ma czasu, zaprzątnięta swą duchową misją. Księża mają z nią utrapienie, bo odciąć się nie bardzo przecież wypada, a i bratać się niezręcznie, choćby ze względu na ten zapach. No więc ją tolerują, uśmiechając się jak do dziecka, lub też chowają się przed nią, bo już dłużej nie są w stanie. Stefka odwiedza także wszystkie możliwe urzędy w mieście, zanosząc skargi na sąsiadów, którzy chcą ją okraść, zamordować ewentualnie zgwałcić. Ostrzega również referentów i sekretarki przed życiem w grzechu. Ma chore, fanatyczne oczy.

Cuda, których Stefka jest niemal codziennym świadkiem i uczestnikiem, zapewniają jej niesamowitą żywotność i odporność psychiczną. O tych cudach opowiada nie tylko słowami, lecz także akwarelą i olejem.

Bo Stefka Jabłkowska, nieznośna baba, stara wariatka i dewotka, jest wielką malarką.

W jej to sprawie telefonowano do Marcina z milicji. Pytano, czy zna niejaką Jabłkowską Stefanię, oskarżoną o zamordowanie matki, bo Jabłkowska zeznała, że pana dyrektora dobrze zna i że pan dyrektor jako magister wyjaśni co potrzeba w sprawie mamusi nieboszczki.

Marcin bardzo się zdziwił. Potwierdził, że Jabłkowską zna od wielu lat i dodał, że jest rzeczą absolutnie wykluczoną, by zamordowała matkę.

Porucznik odpowiedział stereotypowo, że oni na milicji nie takie rzeczy już widzieli.

Marcin pobiegł do komendy.

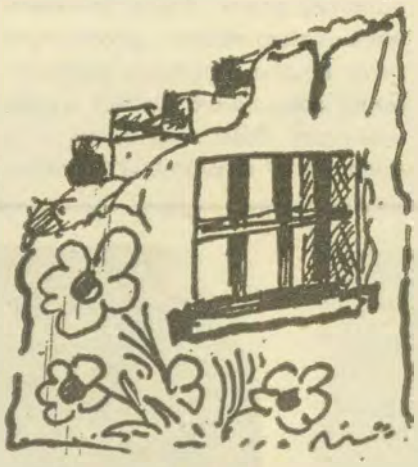

Jabłkowska siedziała w celi zupełnie spokojna. Przywitała się z Marcinem jak we własnym domu, poprosiła by usiadł, chociaż nie było gdzie, i zgodnie z chłopską kurtuazją powiedziała parę zdań o pogodzie.

Marcin znał ją jednak zbyt dobrze. Wyjął z teczki chleb z kotletem, odwinął, poczekał aż zje i spytał obojętnym głosem, co się właściwie stało.

Stefka wyjaśniła rzeczowo, że w najbliższych dniach zakują ją w łańcuchy i na zamku do lochu wrzucą na głodową śmierć. Tu wtrącił się oficer dyżurny, który wyszczególnił zmęczonym głosem, że przecież zamek został wysadzony w powietrze w czasie ostatniej wojny, a w ogóle to niech obywatelka da spokój, przecież to już nie te czasy, nawet więzień w Polsce już nie ma ,tylko zakłady karne. Jabłkowska zaczęła w odpowiedzi śpiewać godzinki, co zresztą robiła od czasu, gdy ją aresztowano — najpierw na klatce schodowej, potem na ulicy, w radiowozie, a na komendzie już od kilkunastu godzin, z przerwami na posiłki.

Porucznik nie miał już nerwów do tego wszystkiego i wyszedł z celi. Marcin za nim.

— Wybacz, stary, że ci głowę zawracałem — tłumaczy się porucznik międzyludzko, a zresztą znał Marcina od szczeniaka i lubił go — ale nie mogę sobie poradzić, nie jestem przyzwyczajony do takich numerów, jak z tą wariatką. My tu mamy życie monotonne, dzień jak co dzień: kradzieże, włamania, gwałty – pospolite, gwałty kwalifikowane, pobicia, pyskówki, pędzenie bimbru, chuligaństwo, prowadzenie pojazdów po pijanemu, uwodzenie nieletnich, maltretowanie rodziny i tak w koło Macieju. Aż tu ni z tego ni z owego taki potworny numer. Podejrzana o morderstwo. Widziano ją na wsi, jak wychodziła z obejścia matki. A potem znaleziono trupa starej Jabłkowskiej następująco: leżała nakryta pierzynami, kożuchami, szmatami, co było pod ręką. A pod tą stertą nagie zwłoki, ślady poparzeń drugiego i trzeciego stopnia. Ja już parę trupów w swoim życiu widziałem, ale żeby tak staruszkę przypiekać mimo braku wyraźnych motywów, to już, jak rany, trochę za wiele. Prawdę mówiąc, nic z tego nie rozumiem. Więc cię proszę o pomoc, bo ona zdaje się ma do ciebie zaufanie. Nie umiem jej nawet porządnie przesłuchać, bo albo śpiewa, albo mnie posądza o zamiar dokonania czynu nierządnego — a głos, jak wiesz, ma bardzo donośny. Zwłoki posłaliśmy do ekspertyzy.

Marcin zaręczył, że Stefka nie ucieknie i lepiej będzie, jak ją wypuszczą. Matki z całą pewnością nie zamordowała, a sprawa szybko się wyjaśni.

Nie wiem, czy wypuścili ją na podstawie tej poręki, chyba jednak z innego powodu; dość, że widziałem Stefkę następnego popołudnia, jak szybkim krokiem przechodziła koło fary, goniąc jakiegoś księdza — prawdopodobnie po to, by opowiedzieć mu o swym cudownym ocaleniu i ucałować jego ciepłe ręce.

Następnego dnia w południe poszedłem z Marcinem na kawę. Powiedział mi wtedy:

— Wiesz, to ciekawe. Stefka ratowała matkę od śmierci. Stosowała ludowy sposób reanimacji. Rozumiesz mnie?

— Nie.

— Bo widzisz, ona miała matkę na wsi. Bardzo ją kochała, odwiedzała ją, gdy tylko na mieście było trochę mniej cudów, a aniołowie i święci nie zmuszali tak natarczywie do malowania. W ciągu ostatnich trzech miesięcy cuda ogromnie się nasiliły, nie było godziny bez jakiegoś nadprzyrodzonego zjawiska, więc Stefka wciąż nie miała czasu, chociaż matka leżała sama w chałupie i konała. Wreszcie wybrała się Stefka w odwiedziny, przyszła o jakieś pół godziny za późno. Matka już nie żyła, ale zwłoki były jeszcze ciepłe. I tu zobacz, co za przytomność umysłu! Stefka natychmiast rozebrała matkę do naga, rozgrzała cegły w palenisku i okładała ją tymi cegłami, aby ciało nie wystygło. Pracowała tak przez pół dnia. Kiedy już było zupełnie oczywiste, że cała robota na nic, można sobie było wreszcie pozwolić na rozpacz. Pękło w niej coś, rozryczała się i taka wrzeszcząca poleciała na ostatni autobus. Wszyscy ją widzieli, słowa z niej nie można było wydobyć. Ktoś zaszedł do matki, zobaczył co jest; milicja, aresztowanie. Potrzymali ją trochę i puścili, bo przyszedł papierek z medycyny sądowej, że staruszka zmarła śmiercią naturalną. Wróciła Stefka do domu, wieczorem dostała szału rozpaczy, a potem wszystko to namalowała. Obrazek wygląda następująco: matka leży na łóżku, z jej ust wychodzi kwiatek — wygląda, jakby ten kwiatek jadła, ale nie, to po prostu dusza wychodzi z ciała, rozumiesz mnie? To dusza w formie kwiatka, bo matka Stefki Jabłkowskiej miała piękną i czystą duszę. Po lewej stronie piec, na piecu siedzi kot —należało zaznaczyć, że w piecu się paliło i dlatego namalowała kota, bo na zimnym piecu kot by nie siedział. Obok Stefka w niebieskiej szacie, bo niebieski to kolor niewinności, a Stefka jest niewinna, to znaczy dziewica. Tak twierdzi i trzeba jej wierzyć. Widziałem ten obrazek i dla mnie jest to największy i niepodważalny dowód jej niewinności, bo to wielka artystka; ona może skłamać mówiąc, ale nigdy nie skłamie malując.

Marcin był dzisiaj najwyraźniej we wzniosłym i poetycznym nastroju.

— Pomyśl, stary. Przecież ona w gruncie rzeczy działała racjonalnie i bardzo przytomnie, stosując tę reanimację; nie wyszło, cóż, wybitniejszym specjalistom też nie wychodzi, chociaż dysponują nowoczesną aparaturą. Trudno, zrobiła, co mogła. Rozumiesz mnie? Potem załamała się, ale bezsilność trwała krótko, ponieważ Stefka jest artystką, musiała namalować całe to wydarzenie. Miała robotę, cel, a więc nie mogła już pozwolić sobie na bezsilność. Sztuka, stary, to wspaniała rzecz: daje wieczny niedosyt, który trzyma przy życiu. Nawet wtedy, gdy reanimacja się nie uda.

FRANCISZEK PALKA W ZAKOPANEM

Śpiewa w „Operze za trzy grosze" i maluje na szkle, gra na skrzypcach i występuje w „Weselu", robi scenografię dla widowisk plenerowych i małych imprez estradowych, rysuje co tydzień w „Dunajcu", prowadzi dziecięcy zespół plastyczny w domu kultury. Przede wszystkim jednak rzeźbi.

Zastanawiamy się nie raz, czy ta różnorodność zainteresowań i uzdolnień nie zaszkodzi Palce. Od dłuższego czasu nie wystawia bowiem swych prac. Jego rzeźby rozproszone są po świecie. Ma właściwie jedną porządną ekspozycję — w wiejskim kościółku w Paszynie! W osobie księdza Edwarda Nitki znalazł Franek mecenasa mądrego i upartego zarazem. Plonowało to najpełniej. Mądrość polegała na pozostawieniu swobody artyście, gdy pracował nad „Ostatnią Wieczerzą" czy nad „Drogą Krzyżową". Gdy rzeźbił konfesjonał czy kazalnicę... Zaś upór Księdza wyraził się w doprowadzeniu dzieła do końca. Palka się wtedy nie rozpraszał. Teraz bywa różnie.

Z tym większą satysfakcją donosimy, że nasz kolega pozbierał się jednak i przygotował interesującą wystawę. Zaskakujący jest wybór miejsca: salon BWA w Zakopanem! A więc w jaskini lwa, w artystycznym centrum województwa, na terenie, gdzie jest najmniej znany. Prezentowanymi obok fotogramami wykonanymi przez Leszka Dziedzica zapowiadamy zakopiański debiut wystawienniczy Palki. Wernisaż — o godzinie 17 w piątek, 1 kwietnia.

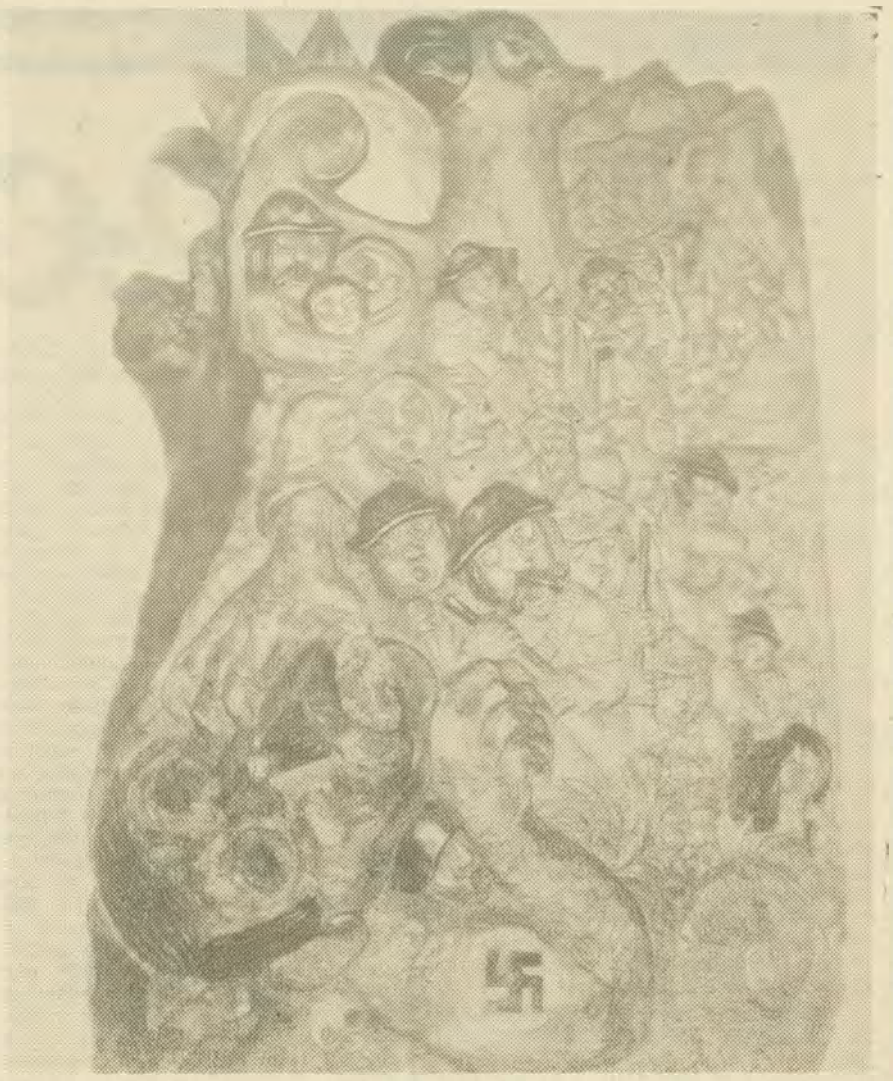

Andrzej B. Krupiński

Moja prywatna

Tej Atlantydy nie znajdziecie na Morzu Egejskim ani za Słupami Herkulesa na bezkresach Oceanu Atlantyckiego. Nie dowiecie się o niej ani od staroegipskich kapłanów świątyni Ra, ani od Platona. Moja Atlantyda jest zupełnie blisko, w zasięgu ręki, doprawdy. Przycupnęła pośród zalesionych gór i wzniesień, przywarła do brzegów Bystrej Rzeki, w dolinie na tyle obszernej, że mieszczą się w niej, i kwitnące w majowym słońcu sady, i łany zbóż dojrzewające z sierpniem. Moja Atlantyda ma postać Miasteczka, które miejskość swą zdołało przenieść przez stulecia, pomimo, iż mieszkańcy jego dawno już zamienili kramy kupieckie i warsztaty rzemieślnicze na pługi, płachetki kamienistej ziemi oraz codzienny znój chłopski. Żyją oni zatem pomiędzy przeszłością a dniem dzisiejszym, zabiegając tak o zachowanie tradycji sięgającej czasów Wielkiego Króla, jak i o dzień współczesny, a nawet o przyszłość.

Miasteczko powstało z woli Wielkiego Króla, który umyślił sobie założyć je przy Ważnym Trakcie. Trakt ten wszak od wieków przemierzali nasi i cudzoziemscy kupcy z wozami pełnymi bałwanów soli, postawów płótna, beczek wina, worów z egzotycznymi przyprawami, skrzyń z wyrobami ze srebra i złota. Kupcy ci korzystali zresztą nie tylko z bruku Ważnego Traktu, ale też i z nurtu spławnej podówczas Bystrej Rzeki opiewanej przez miejscowego poetę:

A pod Miasteczkiem, w dolinie rzeka śpiewa;
Ku niebu ryb wznosi bezrozumne oczy,
Krągli się w zakołach, w załomach przelewa
Szukając pod sosnami kwiatów paproci.

Jest moje miasteczko niezbyt duże, lecz urządzone — jak mówią — *po ludzku*. Jest w nim i dość rozległy rynek, i kilka uliczek. Domy są tu wprawdzie drewniane, ale dość przestronne i zadbane: wszystkie mają otynkowane ściany, bez śladów wilgoci, i wysokie dachy zwieszające się nad chodnikami wysuniętymi okapami. Okna mają niewielkie, ale każde w misternie wycinanych futrynach, każde z białymi firankami i doniczkami kwiatów. Natomiast przy rynku wszystkie domy poprzedzają głębokie, półmroczne podcienia wsparte na dwóch lub trzech fantazyjnie ozdobionych drewnianych słupach.

Po północnej stronie rynku stoi gotycki jeszcze kościół parafialny o jednej przysadzistej wieży i ścianach podpartych masywnymi szkarpami. Wzniesiono go z kamienia łamanego, tylko w narożach obrobionego w ciosy. Z takich samych ciosów szarego piaskowca wykonano ostrołuczne portale i obramienia okienne. W jego wnętrzu ozdobionym polichromiami nieznanego mistrza odnaleźć możemy smukłą Madonnę. Ukształtował ją średniowieczny snycerz, zapatrzony w niedościgłe wzory Norymbergczyka, ożywiając lipowy kloc lekkim ruchem i dyskretnym uśmiechem.

Wielki Król decydując się na podpisanie dokumentu lokacyjnego dla Miasteczka zobowiązał Pierwszego Wójta do zadbania, aby mieszkańcom jego stworzył godziwe warunki bytowania. Nakazał mu zatem wybudowanie ratusza i jatek kupieckich oraz otoczenie miasta wałem i częstokołem ku obronie. Z własnej zaś kiesy sypnął nie byle jakim groszem na kościół, przykazując proboszczom, by mieli na pieczy i młódź tutejszą, starców i chorych. Stąd też już u zarania swoich dziejów Miasteczko szczyciło się posiadaniem obwarowań z dwoma bramami, ratusza, kramów, a także szkółki, szpitalika i przytułku dla ubogich. Więcej nawet: posiadało także zupełnie niezłą kanalizację oraz wodociąg o rurach z wydrążonych pni. Na utrzymanie wszystkich tych przybytków i urządzeń zapewnił mu Wielki Król niezgorsze dochody. A to z jarmarków cotygodniowych, z podatków pobieranych od rzemieślników i kupców, z mostowego, z czynszów od ról i lasów, a także z opłat za pobieranie wody i używanie łaźni — bo i takowa tu była, zaś obsługujący ją łazienny był i za golibrodę, i za medyka.

Żyli sobie zatem mieszkańcy Miasteczka spokojnie, dostatnio i chyba szczęśliwie przez trzy

Krajobraz z wyobraźni

Atlantyda

wieki, aż przyszły najazdy Szwedów, wojsk Rakoczego, a po nich pożar i zaraza. Później jeszcze stracił na znaczeniu Ważny Trakt. Wszystkie te dopusty niebios przeistoczyły ich z dumnych mieszczan w uznojonych rolników pomnych jednak zawsze swej świetnej przeszłości, dbających jak dawniej o szkołę, o przytułek, a nawet łaźnię. Tylko ratusz znikł i obwarowania, jako że okazały się już bezużyteczne. Miejsce ich z czasem zajęły Dom Ludowy, remiza strażacka, sklep miejscowej kooperatywy i boisko sportowe. Zaś w jedynym murowanym domu przy rynku, służącym niegdyś za mieszkanie królewskiemu starosty zorganizowano miejskie muzeum.

Przeglądając teczki ze starymi dokumentami i pismami w miejscowym muzeum, w jednej z nich natrafiłem na pismo, jakie przed dwudziestoma laty mieszkańcy Miasteczka skierowali do Wysokiego Urzędu, a w nim na takie stwierdzenie: „My, obywatele Miasteczka, mając na uwadze przeszłość naszego miasta oraz jego piękno, doceniając wartość historyczną budowli w nim się znajdujących, zwracamy się z gorącą prośbą o opiekę nad nim Urzędu i o wpisanie go do rejestru zabytków województwa... Pragniemy zachować wszystko, co w nim stworzyli nasi dziadowie dla naszych dzieci i wnuków, by się uczyli kochać swoją ziemię, a przez to stawali się dobrymi Polakami". Pismo to — uważacie — zaopatrzone było w zawieszoną na wstążeczce pieczęć, tę samą, którą przyznał Miasteczku przed wiekami Wielki Król.

Atlantyda, której nie ma, a którą każdy wyobraża sobie inaczej.

Opowiadał mi miejscowy kronikarz, że gdy do Miasteczka zjechała specjalna komisja, mająca przygotować wnioski do decyzji o uznaniu go za zabytek kultury, zastała je czyste, zadbane, pełne kwiatów w ogródkach i oknach domów. Przy wjeździe na Główną Ulicę powitana została chlebem i solą oraz bramą triumfalną z napisem „Przeszłość przyszłości". Z tej też okazji na ścianie budynku muzeum umieścili mieszkańcy tablicę, z której mogli się goście dowiedzieć, iż w roku takim to a takim Wielki Król założył miasto nad Bystrą Rzeką ku pożytkowi Ojczyzny i jego mieszkańców. Dzisiaj pismo, w którym uznano Miasteczko za zabytek, oprawione w ramki wsi w salce muzealnej tuż obok wiekowego dokumentu lokacyjnego.

Poznałem i inną miasteczkową historię. Otóż, pewnego razu wichura zwaliła na amen dom Franciszka P. Wobec czego postanowił on wybudować sobie nowy. W tym celu kupił w Gminie stosowny projekt: dom miał być duży, nowoczesny, płaskodachy z wysokim przyziemiem, zupełnie nie pasujący do zabytkowej zabudowy. „Nie będziesz szpecił nam miasta taką budą. Pomożemy ci w budowie, ale tak stawiaj dom, żeby był ładny, pasował do reszty" — powiedzieli miasteczkowianie. Jak postanowili, tak i zrobili. Dzisiaj pan Franciszek mieszka w nowym domu, pasującym jak ulał do reszty zabytkowej zabudowy, a przy tym zupełnie wygodnym.

I tak oto niewielka społeczność wspólnym działaniem zrealizowała postulat wspólnej pracy dla w s p ó l n e g o d o b r a. Powiecie, że to jakiś utopijny miraż: tyle zrozumienia dla interesu społecznego, kultury i patriotyzmu w niewielkim miasteczku! Prawda, ale czyż takich właśnie postaw nam dziś nie potrzeba, jak wody, powietrza i chleba? Na razie to tylko taka moja prywatna Atlantyda, której wyobrazić do końca nie podobna.

Zrzucili gorset

Pod koniec ubiegłego roku pisaliśmy o rolniczych spółdzielniach produkcyjnych, które z reguły gospodarują na najgorszej ziemi, płacą za węgiel i energię elektryczną więcej niż rolnik indywidualny, a w dodatku odstawiają swe produkty państwu po cenach urzędowych, o wiele niższych od cen dyktowanych na bazarach. Słuchając tych informacji w Wojewódzkim Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, zaproponowaliśmy wtedy podjęcie starań zmierzających do zrzucenia gorsetu przepisów krępujących samodzielność spółdzielców. Pytaliśmy np. dlaczego spółdzielnia posiadająca piękne krajobrazowo, ale nieurodzajne tereny leśne, nie miałaby zorganizowć pola biwakowego dla turystów? Pytaliśmy, dlaczego na tym polu biwakowym nie można by sprzedawać własnej baraniny w postaci szaszłyków, własnej bryndzy, oscypków i wiejskiego chleba? Oczywiście — jak na całym świecie — ceny powinno się tak skalkulować, żeby ten biwak i oferowane jadło przynosiły zysk. Odpowiedziano nam wówczas, że pomysł jest nierealny, gdyż przepisy wykluczają taką działalność RSP. Wyszliśmy ze spotkania nie przekonani, bo przecież głośno mówiło się o zrównaniu wszystkich sektorów rolnictwa. Dlaczego więc spółdzielczy sektor miałby być sekowany?

Upłynęło nieco czasu, zapomnieliśmy już o tamtej sprawie, a tu nagle okazuje się, że nasi rozmówcy wystąpili jednak do władz zwierzchnich o akceptację idei usług leśno-biwakowych. Odpowiedź jest pozytywna: nic nie stoi na przeszkodzie w zorganizowaniu campingów i pól biwakowych! W zależności od usytuowania w terenie oferować one będą zbieranie runa leśnego i grzybów, inne zaproponują szaszłyki przy ognisku, jeszcze inne bunz i oscypki. Czyni się starania o stworzenie warunków do wyrobu przez wczasowiczów na miejscu kompotów i dżemów. Możliwe będzie kiszenie ogórków, suszenie i marynowanie grzybów, zbieranie ziół leczniczych, łowienie ryb.

Komu znudziły się tradycyjne formy wakacyjnego wypoczynku, ten z ochotą skorzysta z możliwości połączenia relaksu z przyjemnością zrobienia zapasów zimowych dla własnej spiżarni. Nie wyklucza się również zatrudnienia chętnych przy pracach polowych w RSP. Dwa tygodnie pracy w zamian za dwa tygodnie bezpłatnego wypoczynku to atrakcyjna oferta dla mniej zarabiających! Szczególnie oczekiwanymi gośćmi będą zorganizowane grupy z zakładów pracy, bądź większe rodziny. Zainteresowani mogą kontaktować się z WZRSP, 33-300 Nowy Sącz, ul. Kilińskiego 68, tel 235-86

W ten oto sposób naturalne bogactwo regionu: krajobraz, czyste powietrze, las, jagody i grzyby — stają się towarem. Zaś spółdzielcy uzyskują szansę sprzedawania (w formie przetworzonej) po godziwych cenach z takim trudem produkowanej w górach żywności.

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Można kupić w aptece

Czytelniczek nie zachęcam do czytania tej korespondencji. Dotyczy ona spraw „czysto męskich", wywołujących rumieńce u płci pięknej.

Po tym zastrzeżeniu, które zapewne właśnie skłoni Panie do zapoznania się z tekstem, spieszę donieść, że w Bułgarii opracowano i już wprowadzono do lekarskiej praktyki niehormonalny preparat do leczenie impotencji i bezpłodności u mężczyzn.

„Tribestan", bo taką nazwę nosi to lekarstwo, produkuje się z naziemnej części dziko rosnącej rośliny „tribulus terrestris", znanej w Bułgarii pod ludową nazwą „babini zybi", czyli babie zęby. Jak wykazały kilkuletnie badania kliniczne — preparat przywraca i wzmacnia libido, wydłuża czas trwania erekcji i stymuluje spermatogenezę, przyczyniając się do zwiększenia liczby plemników i ich ruchliwości. Lekarstwo podnosi także poziom testosteronu (męskiego hormonu płciowego) we krwi i nie wywołuje żadnych skutków ubocznych.

Zaburzenia płciowe pojawiają się zwykle u mężczyzn w najbardziej aktywnym wieku. Lekarze najczęściej odwołują się do terapii hormonalnej, wciąż jeszcze niedostatecznie zbadanej i — bywa — szkodliwej. Organizm wytwarza bowiem hormonalne przeciwciała. Długotrwałe stosowanie takiej kuracji prowadzi bardzo często do niedoczynności odpowiednich organów.

Tymczasem „tribestan" może być stosowany przez długi okres i — jak wykazała praktyka — nie wywołuje żadnych skutków ubocznych. Preparat wywiera wpływ na regulację hormonalną bez naruszenia poziomu hormonów. Ocenia się to jako duży sukces bułgarskich farmakologów.

Przy okazji ogłaszania informacji o „tribestanie' jeden z bułgarskich dziennikarzy napisał, że nowy lek został opracowany przez kilka bułgarskich „entuzjastek". Ten nie zamierzony żart ubawił wiele osób, zwłaszcza współpracowników „ekipy twórczej' preparatu, składającej się rzeczywiście z trzech niewiast. Margarita Tomowa, Rojka Giulemetowa i dr Sławka Zarkowa są pracownicami sekcji fitochemii przy Naukowo-Badawczym Instytucie Chemiczno-Farmaceutycznym w Sofii. Entuzjazmują się zaś (i stąd zapewne to określenie) medycyną ludową. Właśnie od tego wszystko się zaczęło.

Ludowe przekazy głosiły, że „babimi zębami' leczono męską niemoc jeszcze w czasach starożytnych. Kobiecy zespół postanowił więc biednym mężczyznom pomóc. Kosztowało to wiele pracy. Skład rośliny „tribulus terrestris" jest bardzo złożony i trzeba było oddzielić wiele frakcji zanim znaleziono grupę aktywną i potwierdzono jej nieszkodliwość. Doświadczenia zakończyły się pełnym sukcesem już w 1978 r. Zespół autorek otrzymał patent na nowy środek stymulacji aktywności płciowej.

Potem przyszły próby kliniczne. Ich rezultaty określono jako bardzo pomyślne. Na tej podstawie komisja środków leczniczych przy Ministerstwie Zdrowia LRB wyraziła w ub. roku zgodę na produkcję i stosowanie preparatu w lecznictwie. Dziś „tribestan" można już kupić w każdej bułgarskiej aptece.

MACIEJ PĘDZICH

Złote myśli

Człowiek z nowym pomysłem jest wariatem, dopóki jego pomysł nie odniesie sukcesu. **M. Twain**

Jeśli nie wiesz, dokąd idziesz, zajdziesz gdzie indziej. **L. Peter**

Najlepszymi reformatorami, jakich świat kiedykolwiek widział, są ci, którzy zaczynają od samych siebie. **G. B. Shaw**

Interesuje mnie przyszłość, ponieważ mam zamiar spędzić w niej resztę życia. **C. Kettering**

Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili. **E. Burke**

Zastanawiać się to nie znaczy zwlekać. **Eklezjasta**

Można opuszczać wiadra w głąb pustych studni i zestarzeć się nic z nich nie wyciągając. **W. Cowper**

Kiedy byłem chłopcem, mówiono mi, że każdy może zostać prezydentem; zaczynam w to wierzyć. **C. Darrow**

PARTIA W DZIAŁANIU

● W 1981 roku dokonano częściowej reorganizacji strukturalnej Komitetu Wojewódzkiego partii. Powstał Wydział Informacji i Analiz, problematyka służby zdrowia „powędrowała" do Wydziału Ekonomicznego, a Wydział Administracyjny przejął sprawy rad narodowych. Po dwóch latach funkcjonowania tej struktury, okazało się, że jest ona mało wydolna i nie wytrzymuje próby czasu, zwłaszcza w świetle nowych potrzeb. Podjęto więc decyzję o kolejnej reorganizacji KW, tym razem bardzo głębokiej. Z wielu rozdrobnionych, kilkuosobowych wydziałów i referatów utworzone zostaną tylko dwa: Wydział Organizacyjno-Propagandowy i Społeczno-Gospodarczy. Ich kierownikami z urzędu będą sekretarze KW nadzorujący określoną problematykę. Pozostanie dwóch sekretarzy KW bez teki, ale i dla nich znajdzie się praca. Jeden będzie w sposób kompleksowy nadzorował prace Rejonowych Ośrodków Pracy Partyjnej oraz terenowych instancji partyjnych, a drugi zajmie się międzypartyjną współpracą zagraniczną prowadzoną z komitetami bratnich partii w ZSRR, Bułgarii, Czechosłowacji i Jugosławii. Zwolnione etaty dotychczasowych kierowników wydziałów wykorzystane zostaną dla wzmocnienia instancji miejskich i zakładowych. Była to decyzja trudna, bo wiążąca się ze zmianą zakresu i miejsca pracy wielu ludzi.

Reorganizacja struktury wojewódzkiej organizacji partyjnej na tym się jednak nie kończy, a dopiero zaczyna. Od momentu powstania województwa największe zakłady Nowego Sącza pozostawały w „nomenklaturze" KW. Rodziło to różne dwuznaczne sytuacje na linii podporządkowania KZ — KM — KW. I ten problem będzie ostatecznie rozwiązany... przez likwidację Komitetu Miejskiego partii w stolicy województwa i utworzenie na jego miejsce Wydziału Miejskiego w KW, któremu podporządkowane będą organizacje partyjne z terenu miasta. Na kierownika tego wydziału został już desygnowany **Zbigniew Haraf** — dotychczasowy I sekretarz miejskiej instancji partyjnej.

Kolejną decyzją strukturalno-organizacyjną jest likwidacja dwóch Rejonowych Ośrodków Pracy Partyjnej w Krynicy i Szczawnicy. Instancje partyjne z krynickiego ROPP-u podporządkowane zostaną rejonowi w Nowym Sączu, a Szczawnica powróci do swych tradycyjnych związków z Nowym Targiem. Rejonowym Ośrodkom Pracy Partyjnej podporządkowane zostały rejony ewidencyjno-składkowe oraz miejskie ośrodki pracy ideowo-wychowawczej. Kierownik ROPP z Krynicy **Wojciech Kierczyński** przeszedł do pracy w Konsulacie Generalnym PRL w Bratysławie, a **Władysław Sołtys** ze Szczawnicy do Izby Skarbowej w Nowym Sączu.

● Przykład idzie z góry. Za przykładem KW poszły instancje partyjne stopnia podstawowego. Jest sprawą zadziwiającą, że w 1976 r. tak niechętnie przyjmowano w terenie decyzje o łączeniu gmin. Teraz, w nowych warunkach, w toku wdrażania zasad reformy, decyzje takie stają się wręcz koniecznością i są podejmowane prawie spontanicznie. Dowiadujemy się na przykład, że komitety miejskie partii w Gorlicach i Nowym Targu postanowiły połączyć się z działającymi tam gminnymi instancjami partyjnymi o tej samej nazwie i utworzyć komitety miejsko-gminne PZPR. Zobowiązano jednocześnie zespoły radnych partyjnych do inspirowania podobnych zmian w radach narodowych i organach administracji. Wprost rewelacją jest to, że do nowo tworzonej jednostki polityczno-administracyjnej w Gorlicach postanowiła doszlusować gmina Moszczenica, której mieszkańcy od kilku lat walczyli o samodzielność. Zmęczyły się również samodzielnością Szczawnica i Krościenko i po krótkim okresie rozwodu zaczynają znów zbliżać się ku sobie. Nie połączą się jednak w poprzedniej strukturze dwumiasta. Zrodziła się inna oryginalna myśl, by na wzór Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej utworzyć organizm pod nazwą: Szczawnica i Gmina Pienińska. Jednostka taka pogodzi interesy nie tylko Szczawnicy i Krościenka, ale również całego obrzeża zbiornika czorsztyńskiego, wchłaniając gminę Czorsztyn i część gminy Ochotnica Dolna. Niemniej oryginalna koncepcja zrodziła się w miejsko-gminnych instancjach partyjnych w Krynicy i Muszynie. Zamierza się mianowicie wyjść z inicjatywą połączenia tych jednostek w jeden organizm. Motywem łączącym jest m. in. Zespół Uzdrowisk Krynicko-Popradzkich działający na terenie obydwu miast i gmin. Jest to koncepcja na pewno bardzo kontrowersyjna i wymaga szczegółowego przestudiowania i przekonsultowania ze społeczeństwem. Jeśli zostanie zaakceptowana, położy kres wieloletnim animozjom, które dają o sobie znać od czasu do czasu w obydwu zdrojach. Autorem pomysłu jest **Stanisław Kafel** z Krynicy.

● Stało się dobrą tradycją, że Komitet Wojewódzki partii proponuje na sekretarzy terenowych instancji partyjnych doświadczonych pracowników wojewódzkiego aparatu partyjnego. Ostatnio desygnowano do pracy w terenie dwóch długoletnich pracowników KW: **Adam Dunst** został I sekretarzem KG partii w Ochotnicy Dolnej, a **Stanisław Bodziony** w Gródku nad Dunajcem.

Są też przykłady awansów w górę. Znany Czytelnikom z licznych publikacji w „Dunajcu" dr **Wacław Raczkowski** przechodzi do pracy w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR.

ROMAN KOSTANECKI

* PANORAMA REGIONU *

Średniowieczna perła Beskidów

Tak nazwał kiedyś Janusz Roszko Stary Sącz. Najpiękniejsza nawet perła wymaga wszakże stosownej oprawy. W przypadku miasta ta „oprawa" oznacza rewaloryzację czyli przywrócenie blasku, odnowę. W Starym Sączu idzie nawet o coś więcej: o gruntowną modernizację tego wszystkiego, co znajduje się pod ziemią, jak wodociąg, kanalizacja, gazociąg, a także o nadanie właściwych funkcji zabytkowym obiektom. Ćwierć wieku temu Sejm podjął decyzję uznającą szczególne wartości starosądeckiej zabudowy. Na całościowe podjęcie rewaloryzacji tego zabytku polskiej urbanistyki nie starcza jednak środków. Mimo istnienia prężnego Towarzystwa Miłośników Starego Sącza, mimo życzliwego zrozumienia władz konserwatorskich — prace chroniące tutejsze dobra kulturalne postępują bardzo powoli.

W sukurs starosądeckiemu kompleksowi architektonicznemu zamierza przyjść z pomocą znany milioner amerykański polskiego pochodzenia, pan Piszek. Nosi się on mianowicie z zamiarem wzięcia Starego Sącza w ajencję. Jest gotów zmodernizować infrastrukturę komunalną miasta oraz wybudować duży komfortowy blok mieszkalny, do którego przeprowadzą się lokatorzy wszystkich kamieniczek okalających rynek. Opuszczone przez lokatorów zabytkowe obiekty przejdą specjalistyczny remont prowadzony na koszt państwa przez Pracownie Konserwacji Zabytków, natomiast wnętrza ulegną adaptacji finansowanej już przez ajenta, który zamierza zorganizować w nich prawdziwy kombinat kulturalno-rozrywkowy.

Złożą się na ten kombinat kawiarnie, zajazdy turystyczne, lokale kabaretowe, dyskoteki, salony gier z kasynem włącznie, ekskluzywne galerie sztuki. Byłoby to największe w Polsce centrum gastronomiczno-rozrywkowe, czynne całą dobę i spełniające dwojaką funkcję: zaplecza relaksowego dla mieszkańców Nowego Sącza oraz atrakcji dla turystów i wczasowiczów z całej doliny Popradu.

Pan Piszek jest zdania, iż usytuowanie miasta na uczęszczanym szlaku komunikacyjnym, a także uroda zabudowy — gwarantują dobry interes. Mimo wielkich kosztów, jakie pochłonie rewaloryzacja, pan Piszek jest gotów zainwestować swe dolary w Starym Sączu, jednakże pod warunkiem, że przez 20 lat całkowity dochód z prowadzonych przez niego lokali (zwolniony od podatków) trafi wyłącznie do jego kieszeni. Pan Piszek zastrzega sobie również prawo wyznaczania cen za świadczone usługi. I tu wyłania się problem: czy można przyjąć takie warunki? Jakie skutki społeczne wywoła u nas ekskluzywne centrum rozrywki w zachodnim stylu? Czy właściwym przeznaczeniem zabytków kultury jest akurat taka funkcja? A z drugiej strony: czy można dłużej odwlekać rewaloryzację?

Naczelnik Starego Sącza powołał komisję ekspertów, która zbada wszelkie aspekty zgłoszonej oferty. Przewiduje się również plebiscyt wśród mieszkańców — ich głos winien przesądzić sprawę.

(bd)

Fot. STANISŁAW ŚMIERCIAK

Dr Wacław Raczkowski ogłasza konkurs

Kierownik Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR nadesłał pismo następującej treści: *„Doceniając znaczenie ważnych rocznic i świąt państwowych postanowiliśmy udoskonalić sposób ich obchodzenia. Idzie zwłaszcza o to, by wyeliminować wszelką sztampę, powtarzanie zużytych schematów i bylejakość w organizacji imprez. W różnych miejscowościach i środowiskach regionu wypracowano wiele wartościowych form świętowania znaczących wydarzeń z przeszłości i teraźniejszości. Stwierdzamy wszakże, że równolegle odbywają się imprezy chybione, nie budzące pożądanych emocji społecznych, nudne i w gruncie rzeczy szkodliwe, bo rozmijające się z celami, którym miały służyć. Nasza partia walczy z wszelkimi przejawami pracy pozornej, w tym również z pozorowaną robotą propagandową. Dlatego pragniemy pobudzić twórcze poszukiwania tych działaczy politycznych i kulturalnych, którzy nadają okolicznościowym imprezom publicznym ambitny kształt artystyczny i dbają o ich głęboką treść. Służyć temu ma otwarty konkurs na scenariusz wieczornicy, akademii, masowej imprezy plenerowej. Wydział Pracy Ideowo-Wychowawczej KW jest zainteresowany popularyzacją najlepszych doświadczeń zarówno w dziedzinie małych kameralnych spotkań klubowych, jak i w dziedzinie dużych, miejskich i gminnych, imprez. Interesują nas propozycje oryginalne — sprawdzone już w praktyce, ale także dopiero planowane. Objętość i forma nadsyłanych prac — dowolna. Jury premiować będzie przede wszystkim świeżość pomysłu, odkrywcze rozwiązania formalne, mądry dobór treści.*

Skład jury i szczegóły konkursu podamy w najbliższym czasie. Na nagrody przeznaczamy 60 tysięcy złotych. Zainteresowanych prosimy o kontakt telefoniczny pod nr 215-83 w Nowym Sączu"

Tyle dr Raczkowski. Ze swojej strony pragniemy zapewnić, że udane propozycje publikować będziemy na łamach „Dunajca". Liczymy, że w konkursowe szranki staną utalentowani animatorzy imprez, których w naszym regionie nie brakuje.

GIEŁDA PRACY

Chcesz zarobić dodatkowo? — Przeczytaj!

PSS „Społem" Nowy Sącz zatrudni w sezonie letnim chętnych do sprzedaży obwoźnej napojów chłodzących oraz kanapek. Wymagane ukończenie 18 lat i prawo prowadzenia motocykla. Mile widziani posiadacze własnych pojazdów. Praca jedynie w dni pogodne, w godzinach 11—14, lub 14—18. Atrakcyjne wynagrodzenie: 25 procent od obrotu. Do wyboru — trasy nad Dunajcem i Kamienicą. Zgłoszenia przyjmuje biuro spółdzielni, ul. Jagiellońska 11, I piętro.

Rejonowa Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu „Samopomoc Chłopska" w Nowym Sączu przyjmie w lipcu i sierpniu dziesięciu sprawnych mężczyzn posiadających kartę pływacką i lubiących wiosłować. Będą oni prowadzić sprzedaż owoców, napojów chłodzących, kanapek i prasy na Jeziorze Rożnowskim. Poruszać się będą łodziami w rejonie Znamirowic, Zbyszyc, Tęgoborza, Lipia, Gródka nad Dunajcem, Bartkowej, Wiesiółki i Rożnowa. Godziny pracy do uzgodnienia. Wynagrodzenie — 30 procent od utargu. Gwarantujemy dojazd własnym środkiem lokomocji nad jezioro. Zgłaszać się należy w biurze RSZiZ, Nowy Sącz, ul. Wyspiańskiego 1.

Federacja Konsumentów wypłaci jednorazowo 10 tysięcy złotych autorowi pomysłu, który sprawi, że w głównych miastach regionu zorganizowane zostaną raz w kwartale giełdy rzeczy używanych. Oferty kierować do Biura Ogłoszeń „Dunajca" z dopiskiem *„Antyniemoc"*.

„Herbapol" poszukuje chętnych do zbierania ziół. Kandydaci przejdą odpowiedni kurs z zakresu ziołolecznictwa. Szkolenie — bezpłatne; warunki płacowe — do uzgodnienia. Zbieraczami mogą być zarówno dzieci jak i osoby starsze. Informacji udzieli sklep wzorcowy w Nowym Sączu ul. Jagiellońska 45.

Prawie ukrop bije z ziemi

Kogo ogrzeje terma w Bańskiej?

„Bańska" — najobfitsze w Polsce naturalne źródło słabo zmineralizowanych wód gorących czeka na wykorzystanie. Geolodzy zakończyli dokumentację niedawno odkrytego złoża.

Otwór zlokalizowany jest przy szosie z Nowego Targu do Zakopanego, niedaleko rzeki Dunajec w dość znacznej odległości od zabudowań wsi Bańska.

Wykonany został w toku planowych prac przedsięwziętych przez centralny Urząd Geologii i realizowanych przez Instytut Geologiczny. Podczas głębienia do ponad 5 tys. m stwierdzono występowanie kilku poziomów wodonośnych, z czego najbardziej interesujący okazał się ten na głębokości 2365—2683 m. Czyli terma Bańska. Taka już nazwa przylgnęła do otworu, z którego wydobywa się woda o temperaturze 78 stopni C. To już prawie ukrop! Zasoby eksploatacyjne złoża, co udokumentowano wynoszą 60 m sześc. na godz.

Stwierdzono też, że z otworu można by uzyskać nawet większą ilość wody termalnej i przy obecnej konstrukcji głowicy eksploatacyjnej zamontowanej na nim. Jednak dalszych prób nie wykonano ze względu na ochronę środowiska, wymagałoby to bowiem wpuszczenia większej ilości gorącej wody do rzeki. Dopiero, gdy nastąpi eksploatacja otworu, a problem zrzutu wody ze złoża zostanie rozwiązany, można będzie badania rozszerzyć.

Leczniczą przydatność wód ze złoża „Bańska" określi wkrótce Instytut Balneoklimatyczny. Walory ich pod tym względem nie będą jednak najważniejsze. Terma jest słabo zmineralizowana i to właśnie jej wielka zaleta, dzięki której istnieją możliwości szerokiego jej wykorzystania do różnorakich celów.

Złoże udokumentowała dr Danuta Poprawa z Karpackiego Oddziału Instytutu Geologicznego. Według jej sugestii optymalne byłoby wybudowanie odpowiednio dużych szklarni lub tuneli foliowych, bezpośrednio ogrzewanych wodą ze złoża. Po wyjściu z przewodów grzewczych woda nadawałaby się jeszcze do wpuszczenia do basenów kąpielowych, a po oczyszczeniu zrzucana byłaby ponownie do złoża poprzez specjalne odwierty. Nawiasem mówiąc, w taki właśnie sposób wody termalne wykorzystywane są m. in. na Węgrzech.

Wysuwana jest także koncepcja spożytkowania wody ze złoża „Bańska" do celów grzewczych w pobliskich miejscowościach — Zakopanem i Białym Dunajcu. Do tego byłby potrzebny rurociąg. Istnieje wprawdzie obawa, że straty ciepła na tej drodze mogłyby być zbyt duże, ale problem nie jest zbadany. Najwięcej zwolenników ma pomysł wykorzystania termy do celów balneologicznych i rekreacyjnych po uprzednim schłodzeniu wody w szklarniach.

Złoże wód termalnych o takich własnościach jak to, jest wielkim bogactwem naturalnym. Rzecz w tym, by je umiejętnie wykorzystać. Przez wiele lat na obszarze polskich Karpat jedynym znanym miejscem występowania wewnętrznych wód termalnych była Jaszczurówka, gdzie w 1944 r. na granicy Tatr i Podhala, cieplicę odkrył L. Zejszner.

Nowe odkrycia nastąpiły dopiero w ostatnim trzydziestoleciu i do nich należą udokumentowane zasoby wód termalnych, m. in. w Zakopanem oraz Siwej Woli. Wykorzystuje się je w niewielkim stopniu albo wcale. Zasoby „Bańska" są najcenniejsze, źródło najgorętsze. Byłoby marnotrawstwem gdyby i ono nie przynosiło nam pożytku.

„Express Wieczorny"

Rozmowa z Bońkiem w Turynie

Turyn zieleni się wiosną. Przybysza znad Dunajca olśniewa łagodny, śródziemnomorski klimat, choć do morza jest ponad trzysta kilometrów. Bogata przeszłość miasta, stolicy prześwietnego Piemontu — cudownej krainy w dorzeczu górnego Padu, obecna jest w zabytkach architektury. Proszę uroczą Angelę, reporterkę z miejscowego dziennika „Giornale Torino", o pstryknięcie zdjęcia na tle XIV-wiecznego kościoła Santo Domenico. Spacerujemy wzdłuż barokowych pałaców, zewsząd spoglądają na nas posągi historycznych władców Piemontu — książąt sabaudzkich, których najznamienitszy przedstawiciel Wiktor Emanuel II został pierwszym królem zjednoczonych Włoch.

Angela niczym wytrawna przewodniczka wycieczek opowiada, że Turyn liczy 1,3 mln mieszkańców. Że obok pobliskiego Mediolanu to największy ośrodek przemysłowy, miasto FIATA, nowoczesnych hut i... dwóch wielkich, piłkarskich rywali „Juventusu" i „Torino".

Najwięcej uroku mają jednak małe uliczki pełne sklepików rzemieślniczych i kafejek. Wystarczy wmieszać się w barwny, różnojęzyczny tłum i chodzić wąskimi uliczkami. A potem przysiąść się na chwilę w kawiarni „Guccione", zamówić pizzę z piwem. Czas jakby się zatrzymuje. Angela obdarza czarującym uśmiechem, który jest zapowiedzią szaleńczej przygody. Wyobraźnia przenosi w dalekie lata Dantego i Boccacia.

Zbigniew Boniek wraz z rodziną mieszka w dzielnicy Galleria San Federico. Zbyszka zastajemy przy oglądaniu telewizyjnego serialu USA pt. „Dallas", trochę podobnego do wyświetlanej u nas „Pogody dla bogaczy". Powitanie jest serdeczne. Żibi (takim mianem obdarzyli go włoscy kibice) cieszy się z lektury polskiej prasy sportowej, w której królują recenzje po wspaniałych meczach „Widzewa" i „Juventusu" z angielskimi potentatami. Żona przygotowuje smakowite rizotto oraz aperitif z colą i sangri. W pokoju bawi się pięcioletnia córeczka — Karolina. Oto przebieg naszej rozmowy ze Zbigniewem Bońkiem, której fragmenty — za sprawą Angeli — ukazały się również na łamach miejscowego dziennika, powiększając skromne konto dewizowe sądeckiego żurnalisty. Wierszówka, no, nie powiem...

— Zbyszku, co pomyślałeś sobie chwilę po losowaniu półfinału Pucharu Europy w Zurychu?

— Że to diabelska sprawa. Marzył mi się wspaniały finał „Juventus" — „Widzew". Jedno jest pewne: przynajmniej jeden Polak wystąpi w finale...

— Czy z czystym sumieniem będziesz bombardował bramkę Młynarczyka?

— „Młynarz" to mój najlepszy przyjaciel. Będę jednak lojalny wobec barw, które reprezentuję. Chyba żaden z kibiców w Polsce nie oczekuje, że strzelę samobójczego gola Zoffowi. Zagram najlepiej jak potrafię. Choćbym miał pluć krwią postaram się, aby „Młynarz" choć raz wyciągnął piłkę z siatki. Powiem jednak szczerze: jeśli „Juventus" przegra, smutek będzie w pewnym sensie osłodzony.

— Kto więc zdobędzie Puchar Europy 25 maja w Atenach?

— Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu. Kalkulacja sił przemawia za moim klubem. Mam jednak problem: tak się pechowo składa, że 3 dni wcześniej reprezentacja Polski rozegra najważniejszy mecz sezonu ze Związkiem Radzieckim w Chorzowie. Jak zagrać na wysokim poziomie w dwóch meczach w ciągu kilku dni? Prezes Angelli już dziś obiecał, że w razie awansu „Juve" do finału otrzymam prywatny samolot na przylot do Polski. Obym miał tylko takie kłopoty...

— Jakie masz życie w barwach „Juve"?

— „Juventus" jest klubem doskonale zorganizowanym. Kierownictwo myśli za piłkarzy, odgaduje ich zachcianki. My zaś mamy tylko dobrze kopać piłkę. Problem w tym, że wraz z Michelem Platinim nie jesteśmy Włochami. Na nasze ręce i nogi patrzy się inaczej. Michel i ja weszliśmy do zespołu, w którym gra aż sześciu mistrzów świata. Lekcje włoskiego, jakich udzielała mi żona, pozwoliły mi opanować język. Nie zawsze jednak potrafię zrozumieć czego ode mnie chcą na boisku, nie zawsze wychwytuję sens dowcipów.

— Jak wygląda Twój rozkład dnia?

— Czuję się jak zaprogramowany robot. Cały tydzień trenujemy przed południem, potem odpoczywamy w willi Perosa. W sobotę o dziewiątej kładę się do łóżka. W niedzielę rano rozgrzewka i do autobusu, w którym czekają trzy urocze stewardessy. Dbają o wszystkie nasze zachcianki. Nie musimy myśleć o niczym, mamy pełny spokój psychiczny. Raz zachorowała córka, klub wezwał lekarza i zapłacił mu honorarium. Na gwiazdkę prezes koncernu FIAT i jednocześnie szef klubu podarował mojej żonie pierścionek z brylantem, mnie zaś — szpilkę do krawatu. Dla takiego klubu warto wygrać Puchar Europy. Cały świat będzie wtedy u stóp

Zbigniew Boniek: — Byłbym innym człowiekiem, gdybym nie grał w piłkę.

— Jakim samochodem jeździsz?

— Jak wszyscy Włosi Fiatem, ściślej Lancią, ale Lancia też jest produkowana przez koncern FIAT.

— Jaki jest Twój ideał kobiety?

— Nie ma idealnych kobiet. Cechy, które najwyżej u kobiet cenię, to umiejętność życia we dwoje, mądrość i łagodność. Tak po cichu podkochuję się w księżniczce Karolinie...

— Czym jest dla ciebie futbol?

— Wszystkim po trochu: pięknym sportem, pracą, źródłem dochodów i sposobem życia. Również receptą na szczęście. Piłka nożna uwarunkowała moje życie co najmniej w 90 procentach. Byłbym zapewne innym człowiekiem, gdybym nie grał w piłkę. To nie znaczy, że zmieniłby mi się charakter, bo już od najmłodszych lat byłem postacią mocno kontrowersyjną. Jeżeli w szkole miałem trzynaście przedmiotów, to było sześciu nauczycieli, którzy mieli do mnie stale pretensje i siedmiu, którzy mnie wyróżniali. Dzięki piłce poznałem ludzi, świat, trafiłem na czołówki gazet nie tylko w Polsce. Wszystko to jest jednak ulotne. Najważniejsze, że stałem się twardy i uodporniony na wiele życiowych przeciwieństw.

— Czy wiesz, że wiele polskich dziewcząt kocha się w Tobie?

— Przesada. Przyznam jednak, że do Włoch docierają listy z wyznaniami miłosnymi. Dziwię się mocno: komu mogą podobać się moje rude włosy? Ponadto, jestem już zajęty.

— Czy lubiłeś w szkole matematykę?

— Niespecjalnie.

— Jakie oceny otrzymywałeś na studiach?

— Bez zbytniej zarozumiałości mogę powiedzieć, że należałem do grupy trzech, czterech najlepszych studentów na roku.

— Największe rozczarowanie w karierze...

— Nie było mi dane wystąpić w drużynie Widzewa, gdy zdobywaliśmy mistrzostwo Polski, w obydwu przypadkach nie grałem w ostatnich decydujących meczach. Do dziś mam pretensje do sędziów na Mundialu, którzy pokazując mi żółte kartki — automatycznie wykluczyli z meczu o wszystko, o finał z Włochami. Grałem normalnie, nie myślałem ani o kartce, ani o faulach. Zupełnie przypadkowo zderzyłem się z zawodnikiem radzieckim. Moment wcześniej były dwa faule Szengeliji i Błochina, sędzia chciał uspokoić grę. Ale dlaczego moim kosztem? Pierwszą kartkę dostałem za... źle ustawiony mur w meczu z Peruwiańczykami. Do końca meczu nie wiedziałem, za co tę kartkę otrzymałem. W efekcie odsunięto mnie od spotkania z Włochami, które mogliśmy wygrać. Taka szansa już się nigdy nie powtórzy.

— Czym byłeś w Turynie najbardziej zaskoczony?

— Reakcją włoskiej publiczności. Większość kibiców przez cały mecz stoi albo podskakuje, wrzawa trwa od pierwszej do ostatniej minuty. Po meczu emocje też nie opadają. Po nieudanym wyjeździe o mało nie zdemolowano mi samochodu. Tydzień temu, po pokonaniu Aston Villi, kiedy wyjeżdżałem ze stadionu obserwowałem karabinierów, którzy zatrzymali 150 młodych ludzi. Wszyscy stali zwróceni w stronę muru z rękami podniesionymi do góry.

— Kto był najlepszym polskim piłkarzem ostatnich lat?

— Grzegorz Lato. Nikt tak jak on nie potrafi harować na boisku. W każdym spotkaniu. Pamiętam taki moment, chyba kwadrans przed końcem meczu ze Związkiem Radzieckim na Mundialu, kiedy Grześ krzyknął do mnie: — Murzyn, zamień się ze mną, bo już mi buty ze zmęczenia spadają! Znaczyło to, że już nawet resztek sił nie miał. Bo on taki jest — walczy do końca, w tamtym meczu biegał za trzech. Ja grałem na środku i siłą rzeczy mecz kosztował mnie dużo mniej wysiłku. Szczerze go podziwiam.

— Na koszulkach „Juventusu" widnieje napis ARISTON, co to oznacza?

— ARISTON to popularna we Włoszech firma produkująca sprzęt kuchenny, meble do kuchni, piecyki itp. Za reklamę klub pobiera oczywiście opłaty.

— Właśnie, porozmawiajmy o pieniądzach. Ile masz na koncie?

— Rzeczywiście, nie narzekam na kłopoty finansowe. Miesięcznie zarabiam 4—5 tys. dolarów. Wydatki jednak mam spore, związane ze standardem życia, jakie tu wraz z rodziną prowadzę.

— Ile godzin dziennie przeznaczasz na trening?

— Bardzo mało. Dlatego właśnie piłkarze na Zachodzie są bardziej żywotni i mniej zmęczeni od naszych. Zoff skończył już 40 lat, Furini 36, kilku innych klubowych kolegów dobiega trzydziestki. Po nikim nie widać zmęczenia futbolem. Bierze się to również stąd, że zawodnicy prowadzą bardzo higieniczny tryb życa, co o polskich piłkarzach nie zawsze można powiedzieć.

— Ideał pomocnika?

— Dawniej z pewnością wymieniłbym Maradonę. On robi z piłką, co chce i jest niesłychanie szybki. Od kiedy jednak zacząłem grać z Platinim, powoli zmieniam zdanie.

— Czy widzisz się w reprezentacji Polski na mistrzostwa świata w 1986 roku?

— Mam sporo wątpliwości. Po przegranym meczu z Portugalią naczytałem się wiele złośliwości na swój temat. Gra w koszulce z białym orłem jest zawsze dla mnie zaszczytem. W końcu biały orzeł to nie ARISTON. Trudno jednak przesądzać, czy zmieszczę się w koncepcji składu Piechniczka, o ile działacze PZPN nie wygryzą go wcześniej, tak jak postąpili z Kuleszą czy Górskim.

— Jakie jest Twoje ulubione zagranie na boisku?

— Zakładanie „siatki" lub... dyskusja z sędzią.

— Czy Rummenigge przyjdzie w przyszłym roku do „Juventusu"?

— To są plotki. W lidze włoskiej jest przepis, który ogranicza do dwóch zawodników liczebność cudzoziemców w jednej drużynie. Ponieważ Platini podpisał kontrakt na dwa lata, ja na trzy, to w tej sytuacji jeden z nas musiałby odejść. To kiepski interes dla klubu.

— Czy przypadkiem nie przeceniasz swojej wartości?

— Nie, po prostu wierzę w siebie. W naszym społeczeństwie panuje przekonanie, że pewność siebie i wiara w swoje możliwości, to wada, nie zaleta. Uważam, że w sporcie i nie tylko w nim, wielkie cele można osiągnąć tylko wtedy, gdy człowiek jest przekonany, że mu się powiedzie. Gdyby w naszej reprezentacji większość zawodników była tak pewna siebie jak ja, można by wygrać ten nieszczęsny mecz z Włochami. Rossi i Tardelli opowiadali mi niedawno, że największego stracha na Mundialu mieli właśnie przed meczem z nami. Strasznie się dziwili, dlaczego nie grał Szarmach. Ja też.

— Co zrobisz po wygaśnięciu kontraktu?

— Może wrócę do Łodzi, aby pograć jeszcze kilka lat w Widzewie. Miałem też już propozycje od „Cosmosu" i „Barcelony". Największe marzenie — to finał mistrzostw świata za trzy lata, prawdopodobnie w Meksyku. W RFN i Hiszpanii było srebro. Mówi się, że do trzech razy sztuka...

— o —

Ze Zbyszkiem o piłce można rozmawiać bez końca. I zapewne tak by się stało, gdyby nie wymowne spojrzenie Angeli sygnalizujące, że nasza wizyta już i tak mocno została przedłużona. Z żalem opuszczamy ten prawdziwy dom, pełen rodzinnego ciepła i serdeczności. Za kilka godzin „mój" Tu-144 odlatuje do kraju.

Niestety, pora wracać. Ostatnie godziny spędzam w restauracyjnej piwnicy z Angelą przy szklaneczce campari. Słuchamy melodyjnych, północnowłoskich piosenek. Na scenie tańczą bajecznie kolorowe dziewczęta. Roziskrzone zatracają profesjonalną wyniosłość, zwycięża w nich żywioł młodości i ukochanego tańca. Moje rozstanie z Angelą nie będzie długie. Obiecała przyjechać na półfinałowy mecz Pucharu Europy z „Juventusem" do Łodzi. — *Zaraz po powrocie zarezerwuj bilety* — przypomina. — *Bene, carino mio amica* — odpowiadam na lotnisku.

Po chwili słyszę głos naszej stewardessy: — Proszę zapiąć pasy, lot potrwa godzinę i czterdzieści pięć minut. Życzę przyjemnej podróży. Czeka mnie jeszcze spojrzenie na morze turyńskich świateł, wśród których potrafię już rozróżnić niektóre znajome mi punkty.

A rivederci Angela! A rivederci Torino!

JERZY LEŚNIAK

W poznawaniu Tatr niepoślednią rolę odegrali przewodnicy, przeważnie wywodzący się z kłusowników oraz strażników leśnych, podążających ich śladem. Nieraz trudno się zorientować, kto był inicjatorem wyprawy i właściwym zdobywcą szczytu: przewodnik czy jego klient, choć z zasady temu ostatniemu przypadały laury zdobywcy. Z dosyć fragmentarycznych notatek z pierwszej połowy XIX wieku wynikałoby, że pierwszym turystą, który dokonał szczytowego wejścia w rejonie Morskiego Oka był Edé Blásy. Urodził się na Spiszu w miasteczku Velka. Jako administrator uzdrowiska Stary Smokowiec, położył duże zasługi przy popularyzacji i udostępnieniu Tatr po węgierskiej stronie. Już jako dwudziestoletni młodzieniec pasjonował się polowaniem na kozice, które wówczas nie były jeszcze objęte ochroną. W 1840 roku wraz ze sławnym później przewodnikiem spiskim, a wówczas znanym „skrytostrzelcem" Janem Rumanem Driečnym seniorem, prawdopodobnie w pogoni za zwierzyną, wszedł od południa na wierzchołek Rysów. Droga ich prowadziła mniej więcej tak, jak dzisiaj biegnie znakowana ścieżka z Doliny Mięguszowieckiej, zwanej także Przełęczą Pod Chłopkiem. Było to w sierpniu 1861 roku, a wyprawę zorganizował ówczesny właściciel Kuźnic Zakopiańskich Edward Homolacs. Brali w niej udział również dwaj jego synowie, Edward junior i Stanisław, Władysław Koziebrodzki, znany później literat i pisarz polityczny, oraz Ernest Schauer, Stanisław Wodzicki i zakopiański pleban ks. Józef Stolarczyk. Panów prowadzili znani kłusownicy, późniejsi przewodnicy Towarzystwa Tatrzańskiego Jan i Jędrzej Krzeptowscy, Wojciech Gąsienica Samek, Maciej Sieczka, Jędrzej Wala starszy oraz pięciu tragarzy. Przebycie tej drogi należy uznać za duże osiągnięcie taternickie ówczesnych czasów. W cztery lata później pokusił się o wejście na Rysy od Morskiego Oka ks. Józef Stolarczyk, wraz z ulubionym swoim przewodnikiem Wojciechem Ślimakiem. Droga ich wiodła wschodnim brzegiem Czarnego Stawu pod Rysami, następnie trawiastymi upłazkami do ujścia ogromnego żlebu, nim do widocznej z dala rysy, wypełnionej zwykle zlodowaciałym śniegiem, dalej na siodełko nad rysą i stąd skalnymi półkami i stopniami na wierzchołek.

W 1875 roku dokonany został, i to przypadkiem, nie lada wyczyn: przejście Żabiej Przełęczy z północy na południe. Ze względu na bardzo kruchą skałę droga ta uchodzi do dzisiaj za ryzykowną. Wyczynu tego dokonał Czech z pochodzenia, zamieszkały w Krępachach na Spiszu, inżynier Viktor Lorenz. Lorenz sporo chodził wówczas po Tatrach. W czasie jednej z wycieczek znalazł się wraz ze swym przewodnikiem Johannem Rumanem Driečnym juniorem nad Morskim Okiem. Tu zorientował się, że przy Popradzkim Stawie po noclegu zostawił ślubną obrączkę. Postanowił więc możliwie prędko wrócić po zgubę. Najdogodniejsze i najbliższe wydawało mu się przejście przez doskonale widoczne z okolicy Żabiego Konia obniżenie grani. Wraz z przewodnikiem dotarł do stóp północnej ściany tego szczytu, skąd rozpoczęli wspinaczkę żlebem ograniczającym urwisko z prawej strony. Noc zastała ich około dwudziestu metrów poniżej siodła Żabiej Przełęczy Wyżnej. Droga dalej „nie puszczała" i, mimo wymyślań od „starych bab", jakimi Lorenz obrzucał przewodnika, ten nie zdecydował się na ryzyko dalszej wspinaczki. Przesiedzieli więc pod olbrzymim przewieszonym głazem całą noc, szczękając z zimna zębami, bo działo się to w trzeciej dekadzie sierpnia, na wysokości około 2200 metrów nad poziomem morza. Następnego dnia zeszli od stóp ściany i zaatakowali siodło znajdujące się pomiędzy Żabim Koniem a Rysami. Tu im się lepiej powiodło i, mimo kruchości skały, osiągnęli grań i przedostali się do Doliny Mięguszowieckiej.

Lata 1873 do 1887 to era wypraw doktora Tytusa Chałubińskiego. Chodziło się wtedy w towarzystwie gromady przewodników, tragarzy i orkiestry, rzec by można: całym dworem. Uczestnicy takiej wyprawy weszli latem 1877 roku nową drogą od południa na Rysy. W następnym roku, wraz ze Stanisławem Kruszyńskim, siedmioma przewodnikami i dwoma tragarzami — Doktór *„wpadł na zbzikowany pomysł"* — jak o tym napisał w uroczym opowiadaniu pt. „Sześć dni w Tatrach — Wycieczka bez programu" — by zejść z wierzchołka Rysów grzędą ku Morskiemu Oku. Drogę wyszukiwali dwaj przewodnicy: Szymon Tatar starszy i Wojciech Ślimak. W rezultacie odkryto najłatwiejszą drogę na Rysy od polskiej strony i do dzisiaj wiedzie tędy znakowany szlak. Jak trudno na oko ocenić trudności skalnej drogi, niech świadczą słowa autora „Sześć dni w Tatrach": *„... zdziwienie nasze wzrasta z każdym krokiem. Nie tylko, że zejść można, ale śmiało mogę polecić zejście z Rysów wszystkim turystom i turystkom... schodzimy po bardzo wygodnych stopniach, po większej części mchem i trawą pokrytych..."*

Tego samego 1878 roku syn doktora, Ludwik Chałubiński, w towarzystwie

dwóch świetnych przewodników — Macieja Sieczki i Wojciecha Roja zdobył Mięguszowiecki Szczyt. Ludwik liczył sobie wówczas lat siedemnaście. W niedalekiej przyszłości, jak pisze o nim W.H. Paryski: *„...stał się jednym z najlepszych taterników swoich czasów... i znał Tatry jako mało kto..."* Wypiętrzona ponad 1000 metrów nad taflę jeziora turnia Mięguszowieckiego Szczytu przerażała ówczesnych taterników swoim ogromem i niedostępnością opadających ku Morskiemu Oku zerw skalnych. Chałubiński, a może Sieczka lub Roj, wybrali drogę wiodącą z Dolinki Za Mnichem, poprzez Galerie Cubryńskie na Hińczową Przełęcz. Następnie posuwano się południowymi stokami tego ogromnego masywu, aż do siodełka w obramowaniu wielkiego kuluaru, stąd na grań i nią na niedaleki już wierzchołek. Było to jak na ówczesne czasy wspaniałe taternickie osiągnięcie.

Wyczynem otwierającym nową erę taternictwa było zdobycie w 1879 lub 1880 roku Mnicha. Nawet dziś wycieczkowiczom spoglądającym znad brzegu jeziora wydaje się niemożliwe osiągnięcie wierzchołka tej wysmukłej iglicy. Trudno dziś powiedzieć, czy pomysł wdarcia się na ten pozornie nieosiągalny szczyt pochodził od dwudziestoletniego Jana Gwalberta, potomka magnackiej rodziny Pawlikowskich z Medyki, czy pięćdziesięcioczteroletniego, niepiśmiennego górala, Macieja Sieczki. Obaj stanowili nieprzeciętne indywidualności. Pawlikowski uprawiał taternictwo zaledwie od kilku lat. W przyszłości miał zasłynąć jako jeden z najświatlejszych umysłów epoki, poświęcając się pracy publicystycznej i dydaktyczno-naukowej. Maciej Sieczka — małorolny chłop, imający się przez całe życie przeróżnych zajęć, byle tylko „zgonić krapkę dutków" był uważany, i słusznie, za czołowego przewodnika swoich czasów. Wydaje się, że kłusownictwo, które w młodości z powodzeniem uprawiał, a później funkcja strażnika zwierzyny oraz wodzenie „panów" po wierchach, było tylko fasadą, za którą kryła się przemożna pasja odkrywcza i instynkt rasowego alpinisty. Uprzejmy i uczynny, a do tego — co się wówczas nader rzadko wśród przewodników zdarzało — całkowity abstynent, miał jedyną pasję: odkrywanie coraz to trudniejszych skalnych dróg.

Zdobycie Mnicha przełamało barierę lęku, może nie tyle przed trudnościami skalnej ściany, ile przed własną słabością człowieka i jego niewiarą we własne możliwości i siły. Od owego czasu taternictwo wkroczyło na nowe tory. Pojawiają się nowe nazwiska, padają coraz to trudniejsze drogi. W 1883 roku F. Kratter wraz z przewodnikiem Jędrzejem Walą młodszym odkryli nową drogę na Mięguszowiecki Szczyt od Przełęczy pod Chłopkiem — tak zwaną Drogę Po Głazach. W następnym roku niemiecki oficer, późniejszy generał, znany alpinista Teodor Wundt wraz ze spiskim przewodnikiem J. Horvayem osiągnęli zimą wierzchołek Rysów — wejście to zapoczątkowało taternictwo zimowe. Tego samego roku latem Karol Podkański z przewodnikiem Kazimierzem Bednarzem i Janem Fedrą seniorem zdobyli Cubrynę. Przyszły sławny historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i członek Akademii Umiejętności liczył sobie wówczas dwadzieścia trzy lata. W trzy lata później, już jako świetnie zapowiadający się młody uczony, w towarzystwie dwóch przewodników: sławnego w przyszłości Klimka Bachledy i jego kuzyna Jana Bachledy Tajbera powtórzyli wyczyn Pawlikowskiego i Sieczki, osiągając wierzchołek Mnicha do dziś popularną drogą „przez płytkę". Przy okazji dokonania kilku nowych wejść w rejonie Cubryny pojawia się nazwisko dwudziestoletniego wówczas Janusza Chmielowskiego, który w przyszłości miał nadać polskiemu taternictwu formy organizacyjne i pchnąć je na nowe drogi. Chmielowski pierwszy osiągnął w 1904 roku wierzchołek Zadniego Mnicha, w 1905 roku zdobył Niżnie Rysy i Żabi Szczyt Wyżni, w 1907 roku Żabiego Mnicha, a w rok później Żabią Łatę, turnię pozornie nie do zdobycia.

W okresie, gdy Chmielowski zaczynał chodzić po Tatrach, nie używano sprzętu asekuracyjnego i z reguły korzystano z usług przewodnika. Na skutek działalności Chmielowskiego miało to ulec zmianie. W 1903 roku wchodzi on bez przewodnika na Ostry Szczyt, zapoczątkowując usamodzielnienie się polskiego taternictwa i zmierzch klasycznego przewodnictwa góralskiego. Liczba polskich przewodników, których było zarejestrowanych w roku 1900 około sześćdziesięciu, zmalała w roku 1935 do szesnastu. Chmielowski lansuje użycie liny w celu asekuracji, co ma zabezpieczyć życie i zdrowie wspinacza w wypadku odpadnięcia od ściany.

Wśród szeregu nowych wejść w rejonie Morskiego Oka na specjalną uwagę zasługuje zdobycie Żabiego Konia, o którym Klimek Bachleda powiedział: *„że się jesce taki nie urodził, coby się na tę turnię wystyrmał"*. 12 września 1905 roku Katherine Bröske, znana niemiecka alpinistka, i również znany jej towarzysz Simon Haberlein stanęli na wierzchołku Żabiego Konia. Jeszcze raz sprawdziła się zasada, że wizualna ocena trudności skalnej drogi nie jest miarodajna. a często o sukcesie wspinacza decyduje pokonanie oporów psychicznych. Na temat tego wyczynu tak pisze W.H. Paryski: *„...wejście Haberleina odegrało bardzo ważną rolę w rozwoju taternictwa. Wprawdzie już poprzednio robiono w Tatrach wejścia równie trudne, lecz nie znane ogółowi taterników, niepowtarzane, niedocenione i w rezultacie pozostające bez wpływu na ogólny poziom taternictwa..."*

W związku z tą bardzo słuszną opinią przypomina się sprawa działalności taternickiej Karola Englischa i jego matki Antoniny, którzy chodzili po Tatrach w latach 1896—1903. Wraz ze spiskimi przewodnikami Johannem Hunsdorsferem seniorem i juniorem dokonali wielu ciekawych pierwszych wejść, także w rejonie Morskiego Oka. Opinia ówczesnych czołowych polskich taterników (Romana Kordysa, Mieczysława Świerza) odsądziła Englischa, późniejszego docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, od czci i wiary, zarzucając mu szereg mistyfikacji, fałszerstw i przeinaczeń odnośnie do przebytych dróg. Należy przypuszczać, że w ówczesnym zamkniętym światku taternickim często krążyły tak typowe dla naszego społeczeństwa pochopne opinie i insynuacje, nie poparte sprawdzonymi faktami. Zmieniło się to, gdy do grona najlepszych wspinaczy zaczęli napływać nowi ludzie, pochodzący ze środowisk rzemieślniczych, w pierwszym rzędzie z Zakopanego, jak Józef Lesiecki, Stanisław Zdyb, nieco później Stanisław Motyka, Bronisław Czech, bracia Wrześniacy.

Po I wojnie światowej polskie taternictwo wkroczyło na nową drogę. Pojawili się ludzie pokonujący najtrudniejsze ściany tatrzańskie: Żabiej Turni Mięguszowieckiej, Mnicha, Kazalnicy. Trudno wymienić wszystkie nazwiska, lecz należy wspomnieć o Wiesławie Stanisławskim, Zofii Radwańskiej-Paryskiej i jej późniejszym mężu W.H. Paryskim, Tadeuszu Orłowskim, Wawrzyńcu Żuławskim, Czesławie Łapińskim, Kazimierzu Paszusze, a po II wojnie — Janie Długoszu, Czesławie Momatiuku i wielu, wielu innych.

Już w pierwszych latach obecnego wieku Tatry okazały się za małe jak na ambicje i możliwości polskich wspinaczy — rozpoczęło się szukanie dróg w wysokich górach świata: Alpach, Hindukuszu, Kaukazie, Kordylierach, Andach, a ostatnio w Himalajach. Bez krzty megalomanii narodowej można powiedzieć, że osiągnięcia naszego alpinizmu czy himalaizmu, jak np. pierwsze wejście Europejki — Wandy Rutkiewicz — na Everest, czy zdobycie tego szczytu zimową porą, dokonane przez Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego, a także wiele innych świetnych osiągnięć — stawiają nas w ścisłej czołówce światowej tej dyscypliny. Jednak drogi, które zaprowadziły tak daleko i wysoko naszych wspinaczy, rozpoczynały się zwykle nad brzegiem Morskiego Oka, zwanego także Rybim Jeziorem.

KRZYŻÓWKA NR 13

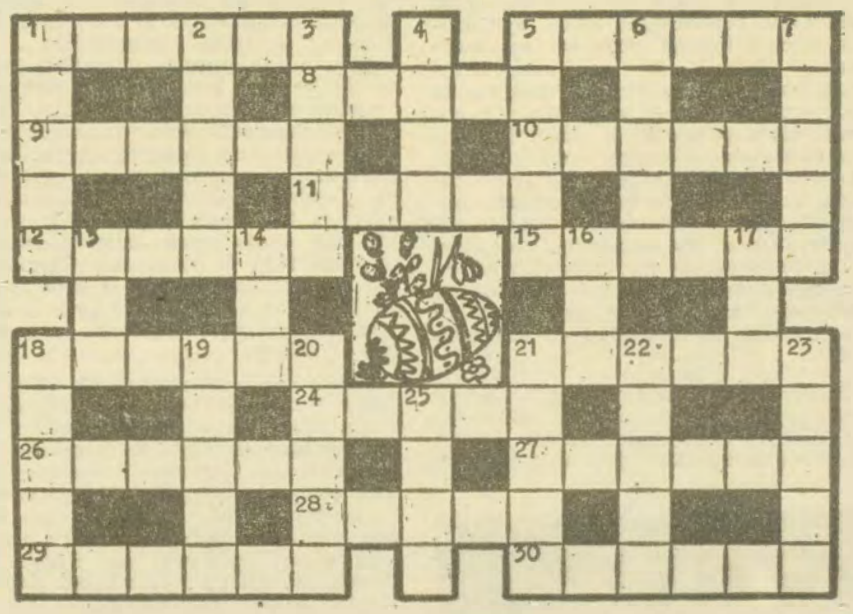

POZIOMO: 1) posąg, 2) port nad M. Czarnym, 8) jezioro w Alpach, największe we Włoszech, 9) liczba wskazująca kolejność stronic druku, 10) zawody jachtów, 11) ptak z czubem na głowie, 12) dawne narzędzie do obróbki drewna 15) palma cukrowa, 18) przełęcz w bocznej grani Tatr Wysokich, 21) sucha kiełbasa z mięsa oślego, 24) wołanie na psa, 26) bielik, 27) niedorzeczność, bzdura, 28) urządzenie radiolokacyjne, 29) archegonium, 30) zakład przemysłu drzewnego.

PIONOWO: 1) rasa psa, 2) pierwszy okres ery mezozoicznej, 3) część Talmudu składająca się z legend i przypowieści, 4) osada o charakterze obronnym, 5) statek towarowy, 6) podhalańska nazwa lasów górskich, 7) smutne przyjęcie, 13) gatunek wierzby, 14) kręci się w oku, 16) ischias, 17) część seta w tenisie, 18) źródło mineralne w Krynicy, 19) ryba drapieżna, 20) marka samochodu ciężarowego, 21) początek wyścigu, 22) maser optyczny, 23) ptak gospodarski, 25) wojsko tatarskie.

Rozwiązania prosimy przysyłać do dnia 8 kwietnia br.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11

POZIOMO: 1) wysokościowiec, 9) lukier, 10) exposé, 11) tuzin, 12) pokaz, 15) Aldona, 19) aneks, 20) zlew, 22) nawyk, 23) maser, 24) tynf, 25) połów, 28) stoper, 32) opera, 34) efekt, 36) statyw, 37) rolada, 38) immatrykulacja.

PIONOWO: 2) spisa, 3) kort, 4) Ślązak, 5) Irena, 6) wypad, 7) Essen, 8) klaps, 13) kolarstwo, 14) Zawiercie, 16) lotnictwo, 17) ożywienie, 18) Aleksy, 21) kompas, 26) oberek, 27) pałac, 29) totem, 30) Pętla, 31) rewir, 33) palec, 35) tryl.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 11, drogą losowania nagrody otrzymują: pp. **Władysława Obrzut** z Rabki oraz **Tadeusz Widuliński** z Nowego Sącza.

Gratulujemy!

KĄCIK RÓŻDŻKARZA

W poprzednim odcinku „Kącika różdżkarza", pisząc o tzw. siatce szwajcarskiej, zapowiedziałem bliższe zapoznanie się z badaniami mgr inż. Jerzego Aweryna, które potwierdzają ścisłą zależność między usytuowaniem łoża człowieka w sieci geobiologicznej, czasem napromieniowania, a jego skutkami zdrowotnymi. Autor tych badań stawia ostrożny, ale udokumentowany wniosek, że przebywanie przez dłuższy czas w określonych obszarach promieniowania sieci geobiologicznej z reguły wywołuje pewne zmiany patologiczne w organizmie ludzkim, może więc być jednym — a więc nie jedynym — z czynników chorobotwórczych.

Badania zostały przeprowadzone na terenie Warszawy, Łodzi i Krakowa w latach 1977/78. Za pomocą detektora biofizycznego mgr inż. Jerzy Aweryn przebadał blisko 1300 przypadków usytuowania łoża — jako miejsca, w którym przebywa się najdłużej — w siatce geobiologicznej. Następnie zebrał szczegółowe informacje o czasie korzystania z tego łoża i stanie zdrowia badanych osób. Analiza zebranych danych wykazała, że tylko 20 proc. badanych (266 osób) przebywało poza obszarami promieniowania sieci szwajcarskiej, a zarazem cieszyło się zadowalającym zdrowiem. Natomiast u pozostałych 1014 osób, które przebywały w obszarach oddziaływania tej sieci, występowały różnorodne schorzenia. Autor badań, analizując ok. 15 tys. informacji, wyodrębnił sześć typowych przypadków przecięcia łoża przez sieć geobiologiczną, w których mogą występować określone schorzenia. Oto niektóre z nich (bez rysunku trudno wszystkie opisać): wtedy, gdy pasmo sieci geobiologicznej „przecina" głowę śpiącego, mogą występować zawroty i bóle głowy, budzenie się z objawami zmęczenia, wyczerpanie umysłowe, zaburzenia psychiczne, wzmożona pobudliwość, zaburzenia wzroku i słuchu itp. Największe nasilenie stanów chorobowych miało miejsce wtedy, gdy węzeł sieci geobiologicznej, tj. krzyżowanie się pasm sieci, przypadał na piersi lub brzuch śpiącego. Gdy jedno z tych pasm przebiegało wzdłuż ciała, a drugie przecinało je prostopadle na wysokości piersi lub brzucha, wtedy tworzyło to sytuację sprzyjającą rozprzężeniu ogólnych procesów metabolicznych organizmu, schorzeniom nerek i wątroby, chorobie nowotworowej i zawałom. Natomiast gdy taki węzeł tworzyły pasma ukośne w stosunku do łoża, to występowały wtedy najczęściej schorzenia jednego organu: żołądka, wątroby itp. Z kolei gdy węzeł lub pasmo sieci geobiologicznej przecinały nogi śpiącego, to często towarzyszyły temu schorzenia kolan i stóp, bóle stawów oraz niedowłady i porażenia kończyn. Przeprowadzone badania wskazały też na ścisłą zależność między czasem korzystania ze źle usytuowanego w sieci geobiologicznej łóżka a stanem chorobowym badanych osób. Najcięższe schorzenia zdarzały się u tych osób, które w niekorzystnych dla siebie warunkach przebywały najdłużej (ponad 5 lat). W badaniach tych nie uwzględniono ewentualej obecności podziemnych cieków wodnych, które potęgują jeszcze promieniowanie sieci geobiologicznej, czyniąc je bardziej agresywnym.

Wielką przesadą i błędem byłoby, oczywiście, szukanie genezy wszelkich schorzeń czy to w promieniowaniu żył wodnych, czy też w niekorzystnym usytuowaniu wersalki w siatce geobiologicznej. Należy to po prostu traktować — w szeroko rozumianej ochronie środowiska człowieka i człowieka w tym środowisku — jako jeszcze jeden czynnik, który może mieć wpływ i na nasze zdrowie, i na nasze samopoczucie. W każdym razie nie powinno się go lekceważyć. Mogę tu przytoczyć wiele własnych obserwacji, które przemawiają za aktywnym oddziaływaniem tzw. siatki szwajcarskiej na stan zdrowia ludzi. Kilka lat temu podejrzewałem np. u siebie schorzenie nerek, które nie znajdowało potwierdzenia w badaniach lekarskich. Moje bóle nerek, a także kręgosłupa żony, zupełnie zniknęły po przeprowadzce do nowego mieszkania. Później sprawdziłem, że w starym mieszkaniu byliśmy po prostu „przecięci" pasmem sieci geobiologicznej. W znanych mi przypadkach zawału serca u osób mi bliskich i znajomych zawsze czynnikiem towarzyszącym był węzeł sieci geobiologicznej, przecinający łóżko — zgodnie z ustaleniami mgr inż. Aweryna — na wysokości klatki piersiowej śpiącego. Co więcej — znam też przypadek, gdy po bardzo ciężkim zawale kuracja — przy stosowaniu tych samych leków — dała wyniki dopiero wtedy, gdy tapczan został przesunięty w miejsce neutralne: znalazł się w oczku siatki szwajcarskiej.

Jak z tego widać, sprawa szukania miejsca, w którym we własnym mieszkaniu można czuć się lepiej i zdrowiej, jest stałym mottem tego cyklu publikacji. O tym, jak w odniesieniu do siatki szwajcarskiej robić to świadomie, będzie mowa w kolejnym odcinku.

ANDRZEJ TEKIEL

W związku z otwarciem z dniem 1 I 1983 r. nowego **Zakładu Eksploatacji Autobusów w Krakowie**

MIEJSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO KOMUNIKACYJNE w KRAKOWIE

ZATRUDNI

na korzystnych warunkach płacowych:

- **KIEROWCÓW autobusowych z 1 i 2 kat. prawa jazdy**
- **MECHANIKÓW napraw pojazdów samochodowych**
- **ELEKTRYKÓW**
- **ŚLUSARZY**
- **MAGAZYNIERÓW**
- **SPAWACZY**
- **PORTIERÓW** (pracowników straży przemysłowej)
- **PRACOWNIKÓW niewykwalifikowanych** (zmywaczy taboru) w pełnym i niepełnym wymiarze godzin
- **PRACOWNIKÓW umysłowych**
- **KANDYDATÓW na MOTORNICZYCH pojazdów tramwajowych**

*

Przedsiębiorstwo zapewnia:

— dla pracowników zamiejscowych miejsce w hotelu pracowniczym lub dowóz do pracy własnymi autobusami

— premie regulaminowe i specjalne

— dodatek za wysługę lat

— nagrody jubileuszowe

— ekwiwalent węglowy

— obuwie, odzież roboczą i ochronną

— bilet na bezpłatne przejazdy środkami komunikacji miejskiej pracownikom oraz członkom ich rodzin

*

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela

Dział Kadr Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Krakowie, 30-405 Kraków, ul. Brożka 3, tel. 66-42-65.

RYBKA Bronisława, zam. Poronin, ul. Kościuszki 66, zgubiła wkładkę zaopatrzenia nr 477581, wydaną przez Urząd Miasta Zakopanego i Gminy Tatrzańskiej. P-67

NAPORA Jan, zam. Podobin 166, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-612148, wydaną przez Urząd Gminy w Niedźwiedziu. S-46727

KOSZYK Włodzimierz, zam. Jasienna 62, zgubił wkładkę zaopatrzenia N-017986, wydaną przez ZNTK w Nowym Sączu. S-46728

SALAMON Genowefa, zam. Świdnik 37, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-107286, wydaną przez Spółdzielnię Ogrodniczo-Pszczelarską „Ziemi Sądeckiej" w Nowym Sączu. S-46729

GOLIŃSKA Ludwika, zam. Nowy Sącz, Naściszowska 80, zgubiła wkładkę zaopatrzenia N-008872, wydana przez Urząd Miejski w Nowym Sączu. S-46735

PIECHOTA Władysław, zam. Maruszyna 31, zgubił wkładki zaopatrzenia N-245139, N-245197 dla syna Władysława, N-245198 dla córki Moniki, N-245199 dla córki Anety, N-245000 dla syna Bogdana, wydane przez Spółdzielnię Kółek Rolniczych w Nowym Targu. S-46734

OPIEKUNKĘ do starszej chorej — przyjmę. Możliwość przekazania M-2 komfortowego. Oferty 51565 „Prasa" Kraków, Wiślna 2.

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Binek, Beata Dembowska, Krzysztof Dobosz, Krzysztof Dybel, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kaszuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbiera (redaktor techniczny). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al. Wolności 49. Telefony: 238-36, 238-90. Telex: 0322748. Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 58, telefon: 22-32-08, 22-75-88, wewn. 238, telex: 0322491. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Krakowskie Wydawnictwo Prasowe w Krakowie, ul. Wiślna 2. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków, al. Pokoju 3.

Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń, ul. Wiślna 2, 31-007 Kraków, telefon: 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 35657.

Prenumeratorzy indywidualni w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

na ekranie TV

1 IV—7 IV 1983

PIĄTEK

PROGRAM I

9.00 Dla młodych widzów „Teleferie tdc" oraz film z serii: „Franek i Bućko" (2) — „Niespodzianka". 10.30 Dla 2 zmiany. 15.55 Program dnia. 16.00 Kino teleferii: „Kłusownik" (2) — film przygodowy TP. 17.00 Dziennik. 17.20 „Przyjemne z pożytecznym". 17.45 Aktualności agencji „Artel". 17.50 Program publicystyczny. 18.40 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc: „Indiańskie opowieści upierzonego węża". 19.00 Program popularno-naukowy. 19.30 Dziennik. 20.00 Monitor rządowy. 20.30 „Ćma" — polski film fabularny. 22.15 Dziennik — 24 godziny. 22.35 „Medea" — widowisko baletowe oparte na antycznym micie.

PROGRAM II

16.30 Język francuski (24). 17.00 Program dnia. 17.05 „Miłość i honor" — film fabularny prod. CSRS. 18.45 Odpowiedzi na listy w sprawie emerytur. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 „Kram" — magazyn konsumentów. 20.40 „Piątek z muzyką" — Ryszard Wagner: „Śpiewacy norymberscy" (cz. 3).

WIECZÓR FILMOWY

21.40 Filmy dokumentalne Jana Łomnickiego: „Suita polska"; „Kolorowy świat". 22.10 „Ojciec" — polska nowela filmowa. 22.35 „O jajku prawie wszystko" — filmy animowane. 23.05 Film na dobranoc: „Biedna Liza" — radziecki film animowany.

SOBOTA

PROGRAM I

8.25 Program dnia. 8.30 „Tydzień na działce". 9.00 Dla młodych widzów: „Teleferie" oraz film z serii „Franek i Bućko" (3) — „Komisarz Bućko". 10.30 Sportowy sposób na zdrowie. 11.00 „Siłacz" — radziecki film kostiumowy. 12.30 Wybrane z tygodnia. 13.00 Poradnik rolniczy. 13.30 „Pęknięte serce" — film dok. o losach dzieci Zamojszczyzny. 14.00 „7 anten". 15.00 Dziennik. 15.15 Filmy Harolda Lloyda: „Kinomaniak" — film z 1930 roku. 16.40 „Tam, gdzie pieprz rośnie" (10) — „Dar Nilu". — „Ocalone od zagłady". 17.25 Program muzyczny. 17.40 Program publicystyczny. 18.10 Kamery na sport. 18.40 Wystąpienie ambasadora Węgierskiej Republiki Ludowej. 18.50 Dobranoc: „Reksio i koguty". 19.00 „Z kamerą wśród zwierząt" — „Prosimy do stołu" (2). 19.30 Dziennik. 20.15 „Straż nocna" — francuski dramat biograficzny. 22.00 „Zawsze po 21-ej" — program reporterów. 22.40 Spotkanie z Adamem Zwierzem. 23.10 Stereo nagrania.

PROGRAM II

8.55 Program dnia. 9.00 „Ukryte światło" — film fab. prod. CSRS. 12.00 Eliminacje mistrzostw Europy w piłce nożnej juniorów: Polska — ZSRR. 13.35 Zespół „Dom" — „5, 10, 15".

STUDIO - 2

16.10 Śpiewający aktorzy w Studio-2. 16.30 Wiosna — program A. Skarżyńskiego. 16.50 Muzyczna oficyna Studia-2 — Dong contra Pogorelić. 17.20 „Cienie zanikają w południe" (2) — serial prod. ZSRR. 18.35 „Judy Tzuke" — program rozrywkowy. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik (dla niesłyszących). 20.15 Śpiewający aktorzy w Studio-2. 20.35 „1500 sekund wielkiego sportu". 21.00 Śpiewający aktorzy w Studio-2. 21.20 „Co, gdzie, kiedy?" — inf. kulturalny Studia-2. 21.50 „Pies ogrodnika" — film fab. prod. CSRS (adaptacja sztuki Lope de Vegi). 23.15 Śpiewający aktorzy w Studio-2.

NIEDZIELA

PROGRAM I

7.50 „Nowoczesność w domu i zagrodzie". 8.15 Program dnia. 8.20 „Tydzień" — magazyn rolniczy. 9.00 Kino teleferii: „Niebo jest granicą" (2-częściowy film Walta Disney'a). 9.50 „Znów ten Münchhausen" (1) — komedia prod. ZSRR. 11.00 „Morze i ludzie" — ludzie morza. 11.50 Telewizyjny koncert życzeń. 12.35 „Gdzie twe góry, góralu?". 12.55 Studio sport. 13.45 Dla dzieci: „Muzyka pana Moniuszki". 14.25 „Godzina z serialem..." (dwuodcinkowy program filmowy poświęcony polskim serialom telewizyjnym). 15.30 Losowanie Dużego Lotka. 15.45 W starym kinie: „Królowa przedmieścia" — polski film archiwalny. 17.10 Kulisy wielkiej polityki. 17.45 „Doświadczenie siebie" — o aktorstwie Jana Świderskiego. 19.00 Wieczorynka: „Pszczółka Maja". 19.30 Dziennik i magazyn „Świat". 20.15 „Port lotniczy" — film sensacyjny prod. USA. 22.35 Sportowa niedziela. „XXIX spotkanie z balladą" (1).

PROGRAM II

11.20 Program dnia. 11.30 „Słusznie reprezentacyjna zwana..." — gra orkiestra dęta kopalni „Wawel". 12.00 Hejnał z wieży Mariackiej. 12.10 „Dzień jak inne dni" — reportaż. 12.30 Muzyka w starym Gdańsku. 12.55 „Wilcze echa" — sensacyjny film prod. polskiej. 14.30 „Wielka noc poetów" — widowisko. 15.20 „Z tej ziemi, z tego morza" — telewizyjny portret pisarza kaszubskiego Jana Piepki. 15.35 I z „Mazowsza" i ze „Śląska". 16.15 „Łemkowyna" — reportaż o kulturze Łemków. 16.45 „Wyśpiewać wiersze" — program rozrywkowy. 17.10 Spotkanie z Janem Dobraczyńskim 17.30 „Żywot Mateusza" — polski film psychologiczny. 18.45 „Sercem malowane" — reportaż o artystach robotnikach 19.00 „Piosenki i pieśni po fajrancie". 19.30 Dziennik i magazyn „Świat". 20.20 „Przeboje mistrzów" — muzyka polska. 21.20 Goście „Dwójki" — prof. dr Bogdan Suchodolski. 21.40 „Gallux show" — program rozrywkowy. 22.35 „Dzięcioł" — polska komedia obyczajowa (reż. Jerzy Gruza, wyst.: Wiesław Gołas, Alina Janowska, Edward Dziewoński).

PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

8.55 Program dnia. 9.00 Kino teleferii: „Niebo jest granicą" (2) — film Walta Disney'a. 9.45 „Znów ten Münchhausen" (2) — komedia prod. ZSRR. 10.50 „Dumka zza Bosforu" — film A. Szwarc-Bronikowskiego o Adampolu. 11.20 „Gwiazdy w zbliżeniu" — Jan Kiepura. 12.20 „Jajo" — na wesoło o rugby. 12.40 Galeria świata: „Ermitaż" (24) — malarstwo francuskie XX wieku. 13.10 Filmy Harolda Lloyda: „Koci pazur" — komedia kryminalna prod. USA. 14.35 Teatr dla dzieci: „Znacie, to posłuchajcie" — „Wyobraź sobie, że...". 15.05 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „G". 15.35 Godzina z serialem. 16.35 „Waleczni przeciw rzymskim legionom" — rumuńsko-francuski film fab. 18.15 „Rozśpiewany szpital na peryferiach" — program rozrywkowy. 19.00 Wieczorynka: „Pszczółka Maja". 19.30 Dziennik. 20.00 Teatr Telewizji — Aleksander Maliszewski: „Droga do Czarnolasu". 21.45 „XXIX spotkanie z balladą" (2). 22.45 „Gwiazdy kabaretu".

PROGRAM II

11.00 Studio-2 wita w świąteczny poniedziałek. 11.10 „Jaja na 200 sposobów" (1). 11.30 „Lemoniadowy Joe" — komedia prod. CSRS (parodia westernu). 13.05 „Burt Bacharach zaprasza do parku". 13.55 „Jaja na 200 sposobów" (2). 14.15 Sport w studiu-2. 14.45 „Jaja na 200 sposobów" (3). 15.00 „Człowiek z M-3" — polska komedia obyczajowa (wyst. m. in.: B. Kobiela i E. Szykulska). 16.35 „Ludzie, którzy z niejednego pieca chleb jedli". 16.55 Piosenki Studia-2. 17.10 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko": „W kraju dzikich zwierząt" — „Mieszkaniec sawanny" — „Wielbłądy pustyni Karakum" — „Siedziba piekieł". 18.15 „Lotny szwadron huzarów" (1) — radziecki dramat historyczno-przygodowy z okresu wojen napoleońskich. 19.00 „Opowieści pana Hilarego" — „W czwartym wymiarze". 19.30 Dziennik. 20.00 „Lotny szwadron huzarów" (2) — radziecki film hist.-przygodowy. 21.50 Hamilton IV w programie „Blue Train". 22.20 „Całe moje życie" — reportaż. 22.40 Piosenki Studia-2.

WTOREK

PROGRAM I

9.00 Teleferie tdc oraz film „Franek i Bućko" (4). 10.30 Film dla 2 zmiany. „Początki fortuny Rougonów" (3). 15.40 Program dnia. 15.45 Kwadrans z „Artelem". 16.00 Dla młodych widzów: „Kłusownik" (3). 17.00 Dziennik. 17.20 Historia Oscara w magazynie „Telekino". 17.40 Program publicystyczny. 18.05 „Interstudio". 18.35 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc: „Opowiadania z doliny Muminków". 19.00 Aktualności agencji „Artel". 19.05 „Twarze przeszłości" — Batory i Jagiellonka. 19.30 Dziennik. 20.15 „Początku fortuny Rougonów" (3) — francuska ekranizacja powieści Emila Zoli. 21.15 Program publicystyczny. 22.00 Dziennik. 22.20 Program publicystyczny.

PROGRAM II

TELEWIZA KATOWICE
NA ANTENIE „DWÓJKI"

17.30 „Przed kamerą wydział muzyki rozrywkowej" (1). 18.00 Program publicystyczny. 18.15 „Wyrwane śmierci" — reportaż filmowy. 18.35 „Przed kamerą wydział muzyki rozrywkowej" (2). 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 Nowości studia nagrań PR w Katowicach. 20.20 Historia teatru śląskiego. 20.50 „W kręgu teatru" — program publicystyczny. 21.10 Piosenki ze sceny. 21.45 „Straż nocna" — francuski film fabularny (powt.).

ŚRODA

PROGRAM I

9.30 Film dla 2 zmiany: „Długie dni, krótkie tygodnie" — radziecki film obyczajowy. 15.55 Program dnia. 16.00 „Krąg" — magazyn harcerzy. 16.30 Dla przedszkolaków: „Tik — tak". 17.00 Dziennik. 17.20 Losowanie Express Lotka i Małego Lotka. 17.35 „W świecie ciszy" — program dla niesłyszących. 17.55 Program publicystyczny. 18.35 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc: „Przygody rozbójnika Rumcajsa". 19.00 Program publicystyczny. 19.30 Dziennik. 20.00 Program publicystyczny. 20.25 1/2 finału pucharu Europy w piłce nożnej: Juventus — Widzew. 22.15 Dziennik. 22.35 Program publicystyczny.

PROGRAM II

16.15 Język rosyjski (25). 16.45 Język angielski (14). 17.15 Program dnia. 17.20 „Wojna domowa" 1): „Ciężkie jest życie" — „Wojna domowa" (2): „Bilet za fryzjera". 18.15 „Ktoś mnie wołał, poznać chciał": Wielopolski i jego system — widowisko historyczne. 19.00 Kronika. 19.30 Dziennik. 20.00 Kino bez granic: „Nie kończąca się podróż" — wietnamska komedia obyczajowa. 21.15 „Szósty dzień to sobota" — program rozrywkowy TV CSRS. 22.05 „Przed trybunałem stanu" — program publicystyczny. 23.05 Kwadrans z „Artelem".

CZWARTEK

PROGRAM I

9.30 Film dla 2 zmiany: „Telefon 110": „Dlaczego zginęła?" — film TV NRD 15.40 Program dnia. 15.45 Kwadrans z „Artelem". 16.00 Dla młodych widzów: „Czwartek tdc". 17.00 Dziennik. 17.20 Telewizyjny informator wydawniczy. 17.35 „Aut" — magazyn reporterów sportowych. 17.50 Program publicystyczny. 18.10 „Patrol" — Centralny Ośrodek Szkolenia Specjalistów Marynarki Wojennej PRL. 18.35 Rolnicze rozmowy. 18.50 Dobranoc: „Sławny myśliwy Otto". 19.00 „Sonda" — „Przeciw naturze". 19.30 Dziennik. 20.15 „Telefon 110": „Dlaczego zginęła?" — film seryjny TV NRD. 21.50 Pegaz — forum. 22.50 Dziennik.

PROGRAM II

16.05 Język angielski (14). 16.35 Język rosyjski (25). 17.05 Program dnia. 17.10 DZIEŃ MEDYCYNY W TVP.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 16)

Nie znaczy to bynajmniej, że miłość musi być całkiem realna i przyziemna. Wyobraźnia powinna być wzbogaceniem, urokiem i ozdobą miłości, ale nie może być jej podstawą.

W jednym jeszcze procesie psychofizycznym, bardzo ważnym dla kształtowania się seksualnej części miłości, wyobraźnia odgrywa zasadniczą rolę: w rozwijaniu odruchów warunkowych. Sygnał odebrany za pośrednictwem zmysłów budzi skojarzenia w wyobraźni i zależnie od tych skojarzeń powstaje pozytywna lub negatywna reakcja seksualna.

Rozdział omawiający rolę zmysłów w miłości jest jednym z najważniejszych w tej książce, uczy bowiem, że trud włożony w okresie narodzin miłości jest szkołą mechanizmów i reakcji, pilnie rejestrowanych wzajemnie przez partnerów. Po ślubie zaś bynajmniej nie odrzucamy do lamusa wypróbowanych we wcześniejszym okresie metod i rekwizytów, jak kwiaty, nastrój, piękne słowa czy dbałość o wygląd zewnętrzny. Nadal tworzymy z tych elementów w najrozmaitszym wyborze i układzie każdorazowo preludium do stosunku.

Każdy stosunek później powtarza jak gdyby w skrócie historię miłości.

Zmysł wzroku

Nie darmo mówimy: „wpadła mu w oko" albo: „Miłość od pierwszego wejrzenia". Wrażenia wzrokowe najczęściej — a szczególnie u osób młodych — są motorem budzącej się miłości. Sprawa przedstawiałaby się ponuro, gdyby uroda zewnętrzna była najważniejszym i jedynym warunkiem miłości. Uwarunkowanie takie jest raczej przejawem niedojrzałości życiowej. Zakochałem się w niej czy w nim, bo jest taki przystojny, elegancki lub — taka ładna, zgrabna itp. Spotykamy zwykle podobne motywacje w większości listów od nastolatków.

Jasne, że także w dojrzałych latach uroda i wygląd zewnętrzny mają duże znaczenie, ale wtedy już wiemy, że nie ma nic bardziej nietrwałego, jak oczarowanie urodą. Na szczęście dla większości nieurodziwych uroda i wrażenia wzrokowe powszednieją niezwykle szybko i już po kilku miesiącach czy latach przyzwyczajenia patrzymy nie widząc, a wtedy dochodzą do głosu inne wdzięki i zalety, początkowo nie zauważone. Bieda, jeżeli ich brakuje — tym większe rozczarowanie.

Tu właśnie tkwi szansa dla nieurodziwych, ale ciekawych, dowcipnych, inteligentnych i posiadających miły sposób bycia na co dzień.

Na marginesie naszych rozważań warto przestrzec, że ludzie wybitnie piękni są nieciekawi i egocentryczni. Pieszczeni od dziecka zachwytami otoczenia, dochodzą szybko do wniosku, że im się to należy, bez najmniejszego wysiłku z ich strony, i współżycie z nimi na co dzień nie jest ani proste, ani łatwe.

W dziedzinie wrażeń wzrokowych podniecająco działa nie tylko widok partnera, ale również inne elementy z nim związane. Istnieją jednak różnice między reakcjami mężczyzny i kobiety na podniety wzrokowe.

Mężczyzn podniecają wszelkiego rodzaju przedmioty specyficznie kobiece, jak np. staniczki, majteczki, chusteczki, bielizna nocna. Przedmioty kojarzące się z toaletą kobiety, jak perfumy, puderniczki, szminki, przybory toaletowe. No i przede wszystkim obrazy, rzeźby i fotografie aktów kobiecych oraz ilustracje pornograficzne. Poza tym — role kobiece w filmie, telewizji, tancerki w balecie itp. Często również budzą zainteresowanie mężczyzn pewne specyficzne cechy kobiece np. jednego podniecają kobiety perwersyjne, wampowate, innego słodkie błękitnookie kobieciątka, innego wreszcie modne seksbomby.

U kobiet elementy podniecające są bardziej zróżnicowane, przekształcone przez wyobraźnię, nie tak bezpośrednie. Często związane z wytworzonymi w przebiegu życia reakcjami odruchowymi, które wiążą się ze wspomnieniami miłości.

Na przykład jedna z moich pacjentek nosiła w torebce piękny rogowy grzebień swego ukochanego jeszcze w wiele lat po rozstaniu się z nim i twierdziła, że ilekroć go wyjmuje, wracają natychmiast w wyobraźni podniecające wspomnienia przeżytych razem chwil. Jedną z ulubionych jej pieszczot było wichrzenie, głaskanie i czesanie jego bujnej kędzierzawej czupryny.

(Ciąg dalszy za tydzień)

HOROSKOP 1983

KWIECIEŃ

(21 marca — 20 kwietnia). Najwyższa pora, abyś zaczął wyobrażać sobie, jakie są konsekwencje twojego działania. Ponadto twój egoizm może okazać się dla kogoś ci bliskiego nie do zniesienia W końcu miesiąca pociągająca okazja... skoku w bok. Nie rób tego, gdyż w efekcie ugodzi to bardziej w twoje interesy, sprawiając dużą przykrość twojemu erotycznemu partnerowi.

(21 kwietnia — 21 maja). Czy rzeczywiście już masz podejmować decyzję, która od kilku miesięcy w tobie dojrzewa? Uważaj, uroczystość w której będziesz uczestniczyć, może przyjąć zupełnie nieoczekiwany obrót. Cierpliwość Wodnika się już skończyła, a Ryby oceniają cię coraz gorzej. Wbrew temu, co myślisz, zastrzyk gotówki podreperuje twoje samopoczucie. Więcej autorefleksji...

(22 maja — 21 czerwca). Taktyka, którą posługujesz się jest dobra, ale uważaj, aby nie przeciągnąć struny. Okaż więcej zainteresowania osobie, której bardzo na tym zależy. Czy tego wyjazdu nie można naprawdę odłożyć? Pod koniec miesiąca jakieś niepowodzenie w pracy zawodowej. Zrekompensują je jednak z nadwyżką sprawy intymne. Zbieraj siły na maj. Będą potrzebne.

(22 czerwca — 22 lipca). Uff... dobrze że masz za sobą już sprawę, która zaprzątała twój umysł. W połowie kwietnia dotychczasowy układ towarzyski z pewną osobą może przekształcić się w coś znacznie cieplejszego... Musisz jednak wreszcie zdobyć się na „męską decyzję". Więcej uwagi musisz również poświęcić sprawom zawodowym. Możesz liczyć na Wagę i Pannę.

(23 lipca — 22 sierpnia). Do konfliktu może dojść w połowie miesiąca. I chyba go nie unikniesz. Twoja dyplomacja bywa bowiem bardzo często zawodna. Wydarzenia ostatniej dekady kwietnia skłonią cię do refleksji natury ogólniejszej. Dobrze, jeśli zaowocuje to konkretnymi decyzjami... W sprawach zawodowych, na których szczególnie ci zależy, musisz zrezygnować z właściwej Lwom dbałości o pozór. Sztafaż może cię zwieść. Znak przychylny — Baran.

(23 sierpnia — 2 września). Niepostrzeżenie twoja sytuacja zmusi cię do większej aktywności, jak również do zajęcia konkretnego stanowiska w istotnej kwestii. Dotyczyć to będzie spraw albo domowych, albo damsko-męskich. W pracy zawodowej — nieoczekiwany sukces — może awans? Znak korzystny — Wodnik. Dobry dzień — ostatni poniedziałek kwietnia.

(23 września — 23 października). Wyczerpanie, jakie odczuwasz, jest rezultatem nadmiernego skoncentrowania się na kilku problemach, jakie usiłujesz rozwiązać. Niestety, ale z twojego pola widzenia umknęło kilka innych nie mniej ważnych spraw. Musisz znaleźć złoty środek... Przychylna ci osoba może wreszcie zrezygnować z prób nawiązania z tobą kontaktu. Uważaj. Trzecia dekada miesiąca dostarczy ci sporo satysfakcji. Unikaj wdawania się w niepewne transakcje.

(24 października — 22 listopada). Ten numer nie przejdzie i niestety musisz swoje plany odłożyć na jakiś czas. Zanosi się na to, że twoje nieprzejednane stanowisko sprawi komuś dużo przykrości. A szkoda... na początku miesiąca dbaj o swoje zdrowie. W okolicach dwudziestego — spotkanie, które zaowocuje nieco później. Nie przegap szansy. Unikaj Byka i Barana.

(23 listopada — 21 grudnia). Miesiąc upłynie raczej spokojnie, ale wystrzegaj się samozadowolenia. W ostatnich dniach nastąpi coś, co wprawi cię w pierwszej chwili w osłupienie, ale wszystko jeszcze raz się dobrze skończy. Wodnik i Byk są ci życzliwi, ale musisz do nich trafić. Leży to głównie w twoim interesie. Unikaj działań pochopnych, a także popadania w zdarzające ci się często stany skrajne. Bądź bardziej tolerancyjny wobec bliskich, a unikniesz w pierwszej połowie miesiąca rozczarowania.

(22 grudnia — 20 stycznia). W twoim życiu nastąpi niewielka zmiana, która jednak pozwoli uzmysłowić ci popełniane do tej pory błędy. Bądź otwarty na życzliwe rady. Znajdziesz się wśród przyjaciół, ale nie wymagaj więcej niż możesz otrzymać. Atuty są w twoich rękach, nie rozmieniaj ich na drobne. Unikaj Byka, Wodnikowi ufaj, ale w sposób umiarkowany. W pracy zawodowej ogromny sukces — jeśli nie zaprzepaścisz szansy.

(21 stycznia — 20 lutego). Miesiąc ciekawy pod wieloma względami. Przyjąłeś dobrą metodę nie przyspieszania spraw, które same muszą dojrzeć. Nie graj jednak na paru klawiaturach, gdyż może się to skończyć klęską. Taktyka jaką przyjąłeś w sprawach intymnych jest dobra, ale jej skutek będzie odczuwalny znacznie później. Bądź realistą.

(21 lutego — 20 marca). Sam widzisz, że metoda, którą obrałeś nie jest właściwa. Nie dramatyzuj też, że inaczej nie umiesz. Zrezygnuj z tego co jest w tej chwili nieosiągalne i spróbuj z osobą, na której ci aż tak bardzo zależy, odbyć wreszcie uczciwą rozmowę. Spacer na linie nie jest twoją specjalnością. Skoncentruj się na sprawach, które kiedyś porzuciłeś. Da ci to sporo satysfakcji i wiary we własne siły. Unikaj ludzi, którzy łatwo się z tobą zgadzają. Pomysł z podróżą — doskonały.

HOROSKOP 1983

MICHALINA WISŁOCKA **(13)**

SZTUKA KOCHANIA

istotę kokieterii stanowią nie tylko bodźce i drażnienia zmysłów, ale ich rytmiczność Do walorów rytmiczności bodźców seksualnych będę jeszcze niejednokrotnie wracała w dalszych rozdziałach. tu zaznaczę jedynie, że rytmiczność bodźców jest specyfiką ośrodków seksualnych i działa na nie silnie pobudzająco.

Kokieteria to nieustanne zmiany nastrojów, przyciąganie i odpychanie na przemian W efekcie takich zabiegów następuje sumowanie się podniet i doprowadzenie partnera do bardzo wysokiego poziomu napięcia seksualnego. Kokieteria jest zwykle bronią kobiet. ale i mężczyźni chętnie z niej korzystają, chociaż w nieco innej formie.

Kobieta wabi, uwodzi, czaruje, obiecuje gestem, wzrokiem, potem nagle odwraca się i czaruje innych (z umiarem!!!) Gdy partner jest zmartwiony i zaniepokojny, znowu przywraca go do łask aby po jakimś czasie na pozór o wszystkim zapomnieć.

Mężczyźni. szczególnie wytrawni uwodziciele. także stosują kokieterię; szaleją. wielbią. zarzucają kobiety kwiatami i telefonami — ona zaczyna być miła, ale nagle — cisza, nie pisze nie dzwoni, przy spotkaniu jest bardzo zaaferowany swoimi sprawami nieomalże grzecznie obojętny. Dziewczyna uświadamia sobie wtedy nagłą potrzebę jego czułości i uwielbienia. stwierdza, że zaangażowała się uczuciowo znacznie bardziej, niż myślała. Niespodziewanie, gdy już oswoiła się z nastrojem smętnej rezygnacji, znowu pojawia się on — czarujący. z kwiatami, komplementami, zaproszeniem na dansing czy do teatru i huśtawka zaczyna się od początku.

Kokieteria jest jednym z najsilniejszych psychicznych środków wabiących, zmusza do pracy wyobraźnię, która raz maluje w czarnych barwach obrazy zerwania, to znowu promienne perspektywy wspólnych przeżyć. Niepokój i niepewność odpływu pozwala w pełni doceniać chwile ciepła i harmonii.

Kokieteria, podobnie jak biel i czerń w malarstwie, daje życiu walor i plastykę, chroni miłość przed nudą i monotonią. Zmuszanie partnera do oczekiwania, odświeżania pragnień i tęsknot. tak fizycznych, jak i psychicznych, to ćwiczenie wyobraźni. zwiększanie natężenia uczuć i świadome wzmaganie napięcia seksualnego

Operowanie zmianami nastroju i kontrastami spotykamy zresztą nie tylko w życiu osobistym, ale i w muzyce, sztuce dramatycznej, literaturze czy malarstwie i umiejętne zestawienie kontrastów decyduje o ich wartości artystycznej.

Mówiąc o kokieterii, należy podkreślić konieczność umiaru i wyczucia przy jej stosowaniu. Niezręczna kokieteria. na przykład słodkie minki, mizdrzenie się i nazbyt pieszczotliwa mowa, może zrobić wrażenie wręcz odpychające. Minoderia i gruchanie, nie pasujące ani do wyglądu, ani do wieku kobiety, budzą u partnera śmiech i chęć ucieczki, a ponadto są niesłychanie nużące dla otoczenia. We wszystkim konieczny jest umiar, bo inaczej przypomina nam się piosenka Miry Zimińskiej „Bo ja przy tobie jestem taka mała..." i komentarz przyjaciółki: — „Ona mała? jaka mała? ona krowa!".

Oprócz niezręcznej kokieterii występuje jeszcze często pułapka wyobraźni — to nadmierny udział fantazji w miłości, idący w parze z brakiem poczucia rzeczywistości. Związek dwojga ludzi, oparty wyłącznie na romantycznej miłości i wyobraźni. skazany jest z góry na niepowodzenie. Miłość taka jest próbą zaspokojenia własnych pragnień i tęsknoty za pomocą wyobraźni. Tworzymy sobie wyimaginowanego kochanka i przypisujemy jego walory konkretnej osobie. Przychodzi jednak chwila, gdy rzeczywistość budzi nas w sposób bardzo przykry z urojonego snu. Pojawia się konieczność nawiązania wzajemnego, pełnego kontaktu psychicznego w atmosferze realizmu. Wtedy małżeństwo rozpada się tym szybciej, im więcej było fantazji, a mniej rzeczywistego wzajemnego poznania.

(CIĄG DALSZY NA STR 15)